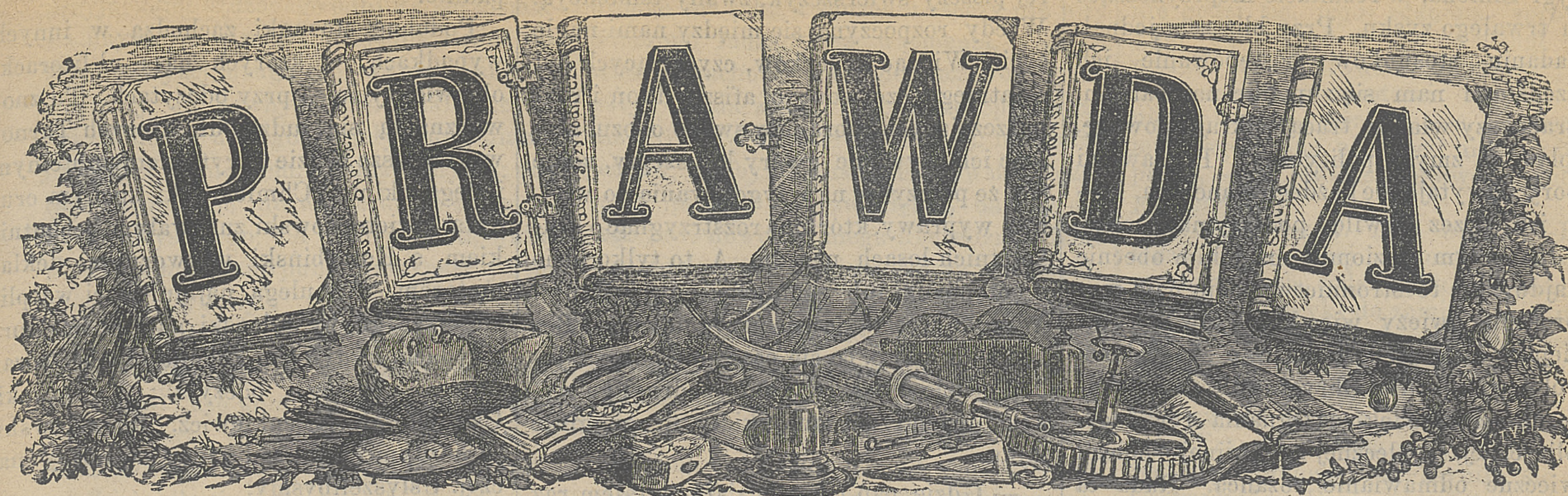
№ 29. Warszawa, dnia 16 (4) Lipca 1881 r. Rok I



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

REFORMA SZKOLNA
we Francyi.

Zdawało się, że zamierzone na wielką skalę przekształcenie wychowania publicznego we Francyi uwieńczy Rzeczpospolitą wkrótce pięknym wawrzynem. Tymczasem, dzięki takim liberałom, jak osławiony J. Simon, dzwoniącym ciągle w klerykalną sygnaturkę, olbrzymi program przeskoczył zawady jedną tylko nogą — bezpłatności nauczania. Senat tak pokaleczył uchwałą Izby, że ona tej kaleki zatwierdzić nie może i musi ją odłożyć do lepszych czasów.

Przeciwko powszechnemu obowiązkowi uczęszczania do szkoły wystąpili tylko klerykalni. W imieniu praw rodzicielskich (dla oparcia się oświacie prawa te umieją oni szanować) żądali swobody ciemnoty, chociaż sam nawet kodeks zabrania rodzicom pozostawiać dzieci bez wychowania. Ciekawym zaiste argumentem chcieli poprzeć swoją chromającą logikę, mianowicie, że „uczciwi ojcowie" bez przymusu kształcą swoje potomstwo. Nazywamy ten argument ciekawym, gdyż w takim razie prawo zwróciłoby się tylko przeciw ojcom nieuczciwym, prawica zaś stanęła w ich obronie. Na pochwałę Senatu francuskiego przyznać trzeba, że w tej walce za prawa ciemnoty nikt prawicy nie sekundował. Potykała ona się sama.

Przedmiotem głównego starcia była sprawa oddzielenia szkoły od kościoła. Na wyłączenie duchowieństwa z nadzoru szkolnego Senat w zasadzie się zgodził; gdy jednak klerykalni znaną taktyką wnoszenia poprawek zaczęli ściągać skórę z projektu— ostygł poprzedni animusz. Projekt żądał, ażeby przedmiotem obowiązkowego kształcenia była naprzód nauka moralności i obowiązków obywatelskich. Prawica zaproponowała, ażeby do „moralności" dodano: „religijnej." Tym sposobem wyznaniowość oświaty, niewpuszczona do planu edukacyjnego, dzięki tej poprawce miała wejść doń tylnemi drzwiczkami. Moralność religijna bowiem jest moralnością pewnego określonego wyznania, moralnością kościoła. Manewr jednak się nie udał, poprawka upadła. Spór wszakże rozwinął się dalej i zakończył charakterystycznym rezultatem. Klerykalni zarzucili rządowi i republikanom, że ci chcą „szkoły bez Boga." Zarzut ten zranił kilkudziesięciu senatorów, deistów ze szkoły Rousseau'a, którzy nie podzielają przekonań klerykalnych, ale w Boga dogmatycznie wierzą. Na bezwyznaniowość się godzą, ale na ateizm nigdy. Otóż z przerażenia tych ludzi skorzystał smutnego gatunku „liberał," J. Simon, grający rolę kota przewracającego kręgle, który zawołał: Odpieracie zarzut, jakobyście chcieli szkoły bez Boga; dla czegoż nie wniesiecie do prawa, ażeby nauczyciel wykładał dzieciom obowiązki względem Boga i ojczyzny? Prawica przyklasnęła temu wymownemu zwrotowi, a J. Simon wystąpił z odpowiednią poprawką, która zyskała większość 13 głosów.

Poprawka ta ma dwie słabe strony: jest dwuznaczną i niebezpieczną. Treść wsuniętej formuły nie jednako rozumieli ci, którzy ją przyjęli. Wyraz „Bóg" w ustach J. Simona ma zupełnie inne znaczenie, niż w ustach Chesnelonga lub biskupa Froeppela. To też prezes miał zupełną słuszność, pytając: „O jakim Bogu mówicie?" Bo jeśli on jest pojęciem filozoficznem, sankcyą prawa etycznego, podpada pod pojęcie moralności; jeżeli go zaś weźmiemy w zwykłem rozumieniu, jest Bogiem religii pozytywnej, wyznania, kościoła. A wtedy po moście tego pojęcia wyznaniowość znowu powraca do szkoły. Klerykalni, głosując za wnioskiem J. Simona, mieli na myśli Boga katolickiego. Daremnie prezes ministrów wykazywał dwuznaczność tego pojmowania, dodając, że senat nie jest koncylium, ażeby rozstrzygał o Bogu; prawica nie chciała ustąpić, a deiści wpaść w podejrzenie o ateizm. Jakiż jednak byłby rezultat, gdyby formuła Simona stała się prawem? Nauczyciel musi wykładać obowiązki względem Boga — według czego? Według swoich kajetów, gdyż katechizm wraz z księdzem jest ze szkoły usunięty? Jeżeli nauka obowiązków względem Boga ma się istotnie odbywać, to trzeba przyjąć za podstawę jakąś pozytywną religię — czyli znowu zrobić szkołę wyznaniową; ponieważ zaś ksiądz jest z niej wyłączony, zatem nauczyciele opieraliby się na swoich religiach. W ten sposób jedna szkoła przechodziłaby kolejno przez najrozmaitsze wyznania — dzięki konceptowi p. J. Simona.

Łatwo przewidzieć niezawodny w takim stanie zamęt. Ale zamętu właśnie potrzebował taki spekulant, jak J. Simon. Raz biskup Dupanloup nazwał go „kardynałem," chcąc przez to wyrazić uznanie dla zręczności intryganta, umiejącego stwarzać takie stosunki, z których klerykalni i jezuici największą ciągną korzyść. Rzeczywiście, J. Simon matactwami lat ostatnich, oszukującemi liberalizm na rzecz ultramontanizmu, wysłużył sobie kardynalski kapelusz, chociaż ostatecznie klerykałów nie zyskał a postępowców stracił. Na szczęście swoje jest on senatorem dożywotnim, o szacunek narodu zatem troszczyć się nie potrzebuje. Jest to posada jak gdyby stworzona dla takich ichmościów.

Napozór dziwnem się zdaje, że ultramontanie, którym przenikliwości odmówić nie-

podobna, wplatają swoje interesy w intrygi Simona, w rezultacie nieprzynoszące im trwałego zysku. Przy bliższem jednak zbadaniu stosunków postępowanie ich przedstawi nam się zupełnie naturalnem. Straciwszy władzę, tracą w kraju powagę, wpływ i zmysł polityczny. Pozbawieni opory, chwytają się każdego manekina, który ich przez chwilę podtrzymać może. O duchowym poziomie, na jakim obecnie znajduje się to stronnictwo, daje nam wyobrażenie świeży wiec katolików w Lille. Niejaki Belcastel, mówiąc o „socyalnem królestwie Jezusa Chrystusa," za najskuteczniejszy środek zażegnania rewolucyi politycznej, społecznej i religijnej—polecił „wieczne odmawianie różańca." Rada ta przekonywa, jak potrzebnem jest we Francyi... obowiązkowe kształcenie się.

Bądźmy pewni, że wszystkie różańce Belcastlów, wszystkie krętactwa Simonów sprawy tej nie zabiją, bo ona jest koniecznem wymaganiem cywilizacyi. Wszystkie wielkie zagadnienia, kryjące się w łonie ludzkości, mogą być rozwiązane tylko przez szkołę i to przez szkołę, opatrzoną prawem przymusu. Prawo to dla wszystkich państw, które żyć mają, jest tylko kwestyą czasu: do jednych wejdzie prędzej (o ile nie weszło), do drugich później. Ta lub owa kłoda, rzucona na drogę postępu ogólnej wiedzy, może jej pochód opóźnić, ale nie zdoła go wstrzymać. Wszystko da się zniszczyć, ale potrzeba nigdy. O istnieniu zaś tej potrzeby świadczą i wiecznie świadczyć będą praktycznie nawet te organa, które w teoryi zamykają przed narodem drzwi do szkoły. Przysłuchajmy się głosom pism, nawet u nas, hodującym ciemnotę, jak one, zapominając o swem stanowisku, wołają nieraz, strwożone groźnymi objawami życia: światła! światła!

SŁOWA PRAWDY.

IV.

(Ludzie i rzeczy.)

Cicho, głucho, aż duszno w naszym dziennikarskiem rojowisku, dopóki ktoś nie popełni najcięższego z grzechów społecznych— nie wystawi w teatrze nowej sztuki, w której piszczy świerszczyk, zwany tendencyą. Wtedy rozpoczyna się między nami nagłe życie. Widząc krytyków, czyszczących (od ostatniego czerwonego afisza) broń i rozpuszczających chorągiew swego obozu, słysząc ich ożywione gwary lub szepty, zdaje się, że patrzymy na przygotowania do wielkiej wyprawy, która ma rozstrzygnąć o długoletnich losach narodu. A to tylko idzie o potępienie lub zganienie nowej sztuki! Wyroki zresztą dawno przygotowane. Bez względu na to, co się na scenie odegra, jeden będzie oklaskiwał autora, drugi go wysyka, jeden rzuci mu bukiety, drugi zgniłe jajka.

— Gdzie pan tak pędzisz? pytałem raz jednego z literatów.

— Idę „spłukać" Lubowskiego.

I spłukał.

— A skoś pan nisko Zalewskiego, nie żałuj— mówił redaktor do swego recenzenta.

— Znasz pan jego komedyę?

— Nie, ale co ten samochwał mógł dobrego napisać.

Naturalnie recenzent Zalewskiego skosił.

— Mellerowa wystawia znowu jakąś marynatę — rzekł do mnie inny literat — trzeba będzie ją podlać octem...

I podlał.

Nie było tu żadnego udania. Wszyscy ci ludzie, idąc do teatru, byli tak przekonani, że ujrzą popis niedołęztwa, jak byli przekonani, że się zasłona podniesie. Niepotrzebowali wcale sztucznie się nastrajać. Każdy wyraz zgóry osądzonej sztuki brzmiał w ich uszach dźwiękiem głupstwa. Poszli na przedstawienie po to tylko, ażeby sprawdzić rachunek prawdopodobieństwa, który ich nigdy nie omylił.

Dla zrównoważenia tych nieprzejednanych wrogów mądra natura otworzyła równie nieprzejednanych przyjaciół. Jak są jedni, którzy nie mogą sobie wyobrazić, ażeby Zalewski, Lubowski, Mellerowa mogli napisać coś dobrego, podobnie są drudzy, którzy nie przypuszczają, ażeby ci autorowie zdolni byli się potknąć. Dla tych znowu Zalewski zawsze będzie „majstrem," Lubowski dowcipnym, Sienkiewicz wielkim artystą, a Bliziński „ciepłym realistą," bezwzględu na to, co im z pod pióra wypadnie.

Podobne stosunki zachodzą w innych wypadkach, w których nasz ul literacki objawia życie — przy odczytach. Tu znowu znajdą się ludzie, dla których Tarnowski zawsze będzie „krytykiem subtelnym i eleganckim," Chmielowski suchym erudytą, Świętochowski zuchwałym bezbożnikiem a Kotarbiński wytwornym deklamatorem. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby Jeleński napisał broszurę o żydach, i gdyby ją kolejno, wobec coraz innego areopagu, odczytali: Tarnowski, Chmielowski, Sienkiewicz, Bogusławski, za każdym razem sąd o niej wypadłby inaczej. Usłyszelibyśmy:

Tarnowski: „Subtelność krytyki walczyła o lepsze z wytwornością słowa. Hr. T. osłoniwszy lekką gazą postać naszego Izraela, wskazał jego dodatnie i ujemne strony, ale wskazał bez wstrętnych obnażeń i bez cynicznych dotknięć. Pozytywizm nie miał się czem napawać."

Chmielowski: „Prelegent umie być gruntownym, chociaż nie umie być przenikliwym, a nadewszystko lubuje się w szorstkościach wyrażenia i w koncercie swego odczytu każe zbyt często odzywać się pozytywnej piszczałce."

Bogusławski (głos z innego obozu): „Płytkość jest zaletą prelegenta, której on się nigdy nie pozbywa. W jego lekcyi nie dostrzegliśmy bystrości, tylko umiejętność nawijania na siebie frazeologicznego kokonu, który chce być jedwabnikiem, a jest pajęczyną i t. d."

Takim sądom uległaby trzema ustami odczytana praca p. Jeleńskiego.

Nie może być inaczej wtedy, gdy zamiast rzeczy bierzemy ludzi; gdy chcąc ocenić jakiś utwór, patrzymy w oczy jego autorowi. Jeżeli p. X. jest dla mnie wstrętnym, jeżeli nie podobają mi się jego zbyt wyłożone kołnierzyki lub zbyt obwisłe uszy, jeżeli podrażnił jakąś czułą we mnie strunę, lub naodwrót, jeżeli wszystko mnie w nim zachwyca, i jeżeli sądząc jego pracę, nie ją mam na myśli, ale jej autora, naturalnie muszę spłacić dług moim uprzedzeniom. Płacimy go też ze składanymi procentami. Często między przyjaciołmi i nie-

---

3)

GŁODOWA POŻYCZKA

NOWELLA

S e w e r a.

III.

Dnie wlokły się powoli, lecz tygodnie uciekały lotem ptaka. Zima znaczyła się śniegiem; biało było na świecie; czasem czerwono od zachodzącego słońca, a czasem i ciemno od chmur, i straszno od jęku wiatru. Wrony lecąc do lasu krakały.

Matka i Antoś tylko mieli buty; oni też wychodzili z chaty. Chłopiec wymajstrował sobie sanki, i odziany płachtą Smoleńki chodził co dzień do lasu, obrywał suszki, układał na sanki, i wracał z niemi do domu. Jagielina przędła i zarabiała na sól, czasem ludzie płacili jej odrobiną ziarna lub mąki. I wtedy na obiad występowały kluski, z czego było dużo uciechy.

Z uciekającymi tygodniami nikły i kartofle, a zima srożyła się coraz cięższa. Antoś marzł, lecz nie ustawał, drzewo woził, i choć mu głód coraz więcej dokuczał, pospiewywał sobie:

„Ach, Boże mój,
„Jakże słodki dzióbek Twój."

Piosnkę tę spiewywali fornale, i dlatego upodobał ją sobie.

Nastał ciężki mróz. Ziemniaków była już tylko odrobina, Antoś wracał coraz wcześniej, coraz mniej drzewa przywoził, zimno go przejmowało, chłopiec, źle okryty, kostniał, z głodu słabnął, lecz się nie skarżył.

— Bo przed kim? Matusia wyjęliby z pod serca, lecz cóż — sami nie mają.

Wieczorem wrócił z lasu Antoś, cały z zimna siny.

Saneczki z drzewem wciągnięto do izby, ogień nałożono, matka pobiegła do karczmy kupić kaszy jęczmiennej.

Antosia przechodziło jakieś zimno po kościach. Zjadłszy kolacyę, wsunął się pod płachtę, i słomianą matę, przytulił się do Jasia, i usnął.

Nad ranem zaczęła płakać Ulinka, za nią Marysia. Antoś, Jaś i Jagusia nie płakali, lecz z zimna zębami dzwonili.

Napróżno matka tuliła do siebie dwoje najmłodszych — napróżno! Mróz, jak ogień, leciał z nieba, drzewo w chacie trzeszczało. Na świtaniu zerwała się, rozpaliła ogień, nawarzyła żuru, — dzieci go piły z chciwością — zagrzały się i zasnęły.

Wstał Antoś, zabrał sanki i pociągnął w las. Nie długo jednak bawił — wrócił bez drzewa.

— Matusiu, juz nie mogę — szepnął — potoczył się do łóżka i wsunął pod matę.

— A cóż ci to moje dziecko — zawołała przestraszona kobieta.

— Haniebsko zmarzłem w nocy, głowa mi się zawraca, kłuje w boku i pali na wnątrzu. Nie zasedłbym do lasu.

Nie było czasu na żale i pociechy. Zimno, ten straszny gość, coraz więcej wypełniało izbę. Kobieta się odziała, czem mogła, pochwyciła za powrózek od sanek — wybiegła.

Długo nie wracała. Dzieci, z zimna nie mogąc spać, płakały. Jagusia także drżała, i dlatego nie śmiała wstać i szukać drzewa.

Dobrze już było po południu, kiedy dzie-

przyjaciołmi sądzonego odbywa się formalna licytacya: w miarę jak jedna strona postępuje wyżej, druga zsuwa swoją cenę coraz niżej. Po pewnym czasie takiej licytacyi dochodzi do tego, że gdy jedni mianują autora geniuszem, drudzy idyotą; gdy tamci przyznają mu wszystko, ci odzierają go z wszystkiego. A odurzona tą walką plusów z minusami publiczność patrzy i nie wie, komu wierzyć.

Czy tylko publiczność? I świat literacki w nielepszem znajduje się położeniu. Wszyscy wiemy, kto komu sprzyja, ale nie wiemy, co warte są te prace, które ciągle do piśmiennictwa wpływają. Widzimy *ludzi*, wielkich dla jednej, małych dla drugiej strony; widzimy „niepospolite talenta,“ nazywane „niepospolitemi miernotami,“ widzimy sieć najsprzeczniejszych uczuć, otaczających każdego pisarza, ale nie znamy wartości stworzonych przez niego *rzeczy*. Powie ktoś, że jest to zjawisko, powtarzające się w każdej literaturze. Nigdy tak rażąco. We Francyi wiadomo, że utwory Zoli są znakomite, chociaż przez wielu nielubiane; gdyby śród nas urodził się Zola, moglibyśmy być w wątpliwości, czy nie szkoda czernionego przezeń papieru. Wierz mi czytelniku (i pociesz się), że jeśli nie czytałem jakiej książki lub nie widziałem komedyi, nie mam o nich — mimo studyowania sprawozdań — nawet przybliżonego pojęcia. Bo naturalnie, gdy krytycy starają się autorów tylko „płukać“ i „kosić“ lub „wyszrubować,“ możność przedmiotowego poznania ich prac niknie.

Chociażbym miał raz jeszcze sprobować głosu wołających na puszczy, powiem, że czas już skończyć sądzenie w literaturze ludzi zamiast rzeczy, zamiast ich prac; czas zacząć objaśniać naród o wartości utworów, przybywających do jego umysłowego skarbca. Dotychczasowa metoda zaszczepiła bardzo niezdrowe wymagania, obowiązujące pisma do czynów, niemających nic wspólnego ani z zasadami, ani z kierunkiem opinii publicznej. Liberalizm pojmujemy, jako systematyczne łajanie Sarneckich, Zalewskich i Szymanowskich; konserwatyzm znowu jako czernienie Chmielewskich, Świętochowskich i Smoleńskich. Nie żądamy, ażeby wszyscy znaleźli się na jednej drodze, ale żeby w sądzeniu rzeczy nie wywłóczono ludzi. Bez wątpienia, daleko większa zachodzi dla mnie możliwość sympatyzowania z tem, co napisze Spasowicz, niż z tem, co napisze Tarnowski; nie sądzę jednak, ażebym musiał Tarnowskiego zawsze „płukać“ i bezwzględną naganą dla jego prac dowodzić mego liberalizmu. Nikt o sobie powiedzieć nie może, że jest zupełnie sprawiedliwym, ale każdy może być rzetelnym. Nikt Temidą być nie zdoła, ale potwarcą być nie potrzebuje. Tymczasem obmowa osobista, szczególnie uprawiana przez lekkomyślnych zachowawców, niemających nad nią innej broni w walce o byt, zachwaściła naszą prasę w sposób przerażający. Wobec niej—rzeczy, dzieła zginęły, pozostali tylko ludzie naszpikowani zatrutemi strzałami wrogów i gojący rany balsamem uznania przyjaciół. I czyż żądamy za wiele? Wszak tyle tylko, ażeby o utworze pisarza mówiono tak, jak o butach szewca, czy są dobre lub złe, z pominięciem dodatku, że ów szewc lubi wódkę i nie szanuje żony.

M. S.

PAWEŁ BROCA.

Rok upłynął od czasu śmierci tego badacza, jednego z najwszechstronniejszych uczonych francuzkich. Chwilę tę uważamy za stosowną do uczczenia jego pamięci przed czytelnikami *Prawdy*, zauważywszy przytem, iż dzień, w którym te słowa piszemy (9 lipca), jest dziwnym zbiegiem okoliczności pierwszą rocznicą jego zgonu.

Biograf Pawła Broca, p. S. Pozzi, kreśli wizerunek zgasłego uczonego z prawdziwą miłością. Przedstawia go nam w ostatnich latach jego działalności, jako starca o młodzieńczem i żywem usposobieniu, jako nieutrudzonego we wszelkich gałęziach pracy badacza, jako serdecznego przyjaciela, dobrego kolegę, a co najważniejsza — wykazuje jedną z najszlachetniejszych cech jego umysłu, mianowicie: głębokość poglądów naukowych, niepozwalającą na zajęcie stanowiska przywódcy jakiejkolwiek partyi politycznej: „Unikał Broca — mówi o nim Pozzi — jaknajstaranniej wszelkich rozpraw, do których mięszały się sprawy religijne lub polityczne. Postępowanie takie uważał za poniżające naukę, której nie godzi się, jego zdaniem, sprowadzać z jej wzniosłych wyżyn na usługi niskich potrzeb stronnictwa lub dogmatu.“

Z tymi przymiotami umysłu łączył nieporównaną pracowitość. Czterdzieści lat swego życia poświęcił niezmordowanej pracy, — a jakie są jej owoce, zobaczmy pokrótce.

Urodzony w r. 1824 w Sainte-Foy-la-Grande, ze starej hugonotów rodziny, już w stosunkach rodzinnych wczesnego dzieciństwa przywykł do zamiłowania niezależności umysłowej, do pogardy wszelkiego ucisku. W r. 1832 wstąpił do kolegium w Sainte-Foy, które podówczas gromadziło w swych murach protestancką młodzież całej Francyi. Szkoła rozwinęła tylko dalej wpływy domowe i przyczyniła się do wytworzenia w Broce niezależnego i silnego charakteru.

Początkowym zamiarem młodzieńca było oddać się naukom matematycznym; wypadki rodzinne i nalegania ojca, lekarza, skłoniły go do poświęcenia się medycynie, którą z wielkiem powodzeniem studyował w Paryżu. Przeszedłszy w stosunkowo najkrótszym czasie wszystkie szczeble hierarchii medycznej, już w 25 roku życia uzyskał stopień doktora medycyny, i zajął stanowisko prosektora przy katedrze chirurgii, na której rozpoczął wykłady dopiero w pięć lat później.

Główną sławę swą Broca zawdzięcza antropologii; zapominać jednak nie należy, że i medycyna, a mianowicie chirurgia i anatomia patologiczna bardzo wiele mu zawdzięczają. Już sam wzgląd na tę jedną okoliczność, że Broca był pierwszym z tych, którzy zwrócili uwagę na olbrzymie znaczenie mikroskopu w badaniach patologicznych, nie pozwoli nigdy zapomnieć o jego zasługach dla medycyny.

Nie będziemy wyliczać wszystkich prac tego badacza z zakresu chirurgii, anatomii i rozmaitych innych gałęzi wiedzy medycznej, wspomnimy tylko o najobszerniejszem jego dziele, noszącem tytuł *Traité des tumeurs*. Pierwszy tom jest ogólną nauką o nowotworach, drugi traktuje je szczegółowo. Tom trzeci nie wyszedł z druku, z powodu, że Broca przyjął czynny udział w olbrzymiem angielskiem wydawnictwie *Cyclopedia of pratical Surgery*, prowadzonem przez Costellego.

Z odkryć Broki winniśmy zauważyć pogląd jego na odżywianie się tkanek, pozbawionych naczyń krwionośnych, jak chrząstek, soczewki oka i t. p. Pogląd jego, utrzymujący, że tkanki mogą czerpać pokarm nie koniecznie ze krwi, lecz i z przesiąkających je płynów, utrzymał się do dziś. Nie mniej ważnemi były odkrycia jego w nauce o tętniakach i w ogóle o krą-

---

ci zobaczyły matkę, a za nią pełne saneczki drzewa. Radość błyszczała im w oczach, wydobywając się ochrypłymi głosikami.

Płomień buchnął, — Jagusia się zwlokła pomagać matce do ugotowania jęczmiennej kaszy. Jeden tylko Antoś się nie odzywał. Rozpaliło go, i usnął.

Markotno było dzieciom bez Antosia, ale jakoś zapomniały o nim wobec gotującej się kaszy jęczmiennej.

— Słysycie, jak to pyrcy—zwracał uwagę dzieci Jaś na odgłos gotującej się kaszy.

Dzieci słuchały.

— A juści, ze pyrcy. Co niema pyrceć, obłozona takim ogniem, zawyrokowała Jagusia.

Kaszę zjedzono, drzewo się spaliło. Jagielina przyniosła snopek słomy od Smoleńki, rozpostarła go na macie; nie mogła wytrzymać w izbie, poszła do dzieci, tuląc je do siebie.

Wiatr się zerwał.

— Bez pierzyny na taki mróz, przy takim wietrze nie przetrzymamy zimy. Dzieciska mi pomarzną, i ja z niemi. Ha, dziej się wolo Boza — byle prędzej, byle prędzej — szeptała — bylem ich nie przezyła.

Wiatr huczał i szarpał chatę, zdawało się, że dach porwie. Nie pomogła derka, ani mata, ani snopek słomy przyniesiony od Smoleńki. Dzieci z zimna z początku zębami dzwoniły, potem sen ich zmorzył,— matka tylko nie spała, pełna strasznych przeczuć. Mrowie ją przechodziło po ciele, bała się, choć nie wiedziała czego. Ulinka zaczęła się rozpalać, czuła to, tuląc do siebie dziecko.

Za Ulinką poszła Marysia, potem obie ziębły i kostniały. Głowa kobiecie ciężyła, sny ciężkie, straszne ją trapiły.

Raniutko wyjrzała z za maty Jagusia, za nią Jaś. Matka i dwie dziewczynki spały.

Wiatr się zerwał; dziewczynka wdziała buty Antosia i wybiegła do sąsiedniego płotu nałamać chrustu. Rozniecila ogień, lecz matusia się nie przebudziła. Jaś ją trącał nie śmiało. Oczy otworzyła, i znów je zamknęła. Jagusia z Jasiem szeptali, że matusię musiało zimno wytrząść, bo i z niej gorąco leci.

Ostatek ziemniaków oskrobała i zjadła je z Jasiem.

— Co ja teraz niescęśliwa sama będę robić? Antoś chory, matusia nie mogą ocu otworzyć — a tu ci mróz!... Przechyliła się nad łóżkiem:

Matusiu — matusiu — moja złota matusiu — otwórzcie ino ocy, przemówcie słówko...

Matusia nie otworzyła oczu i nie przemówiła.

I cóż miała robić — wsunęła się za słomianą matę. Troszkę płakała, troszkę się skarżyła — zasnęła.

— Pić — pić wołały dzieci, Antoś i matka.

Podawała im wody Jagusia, i znów się przy Antosiu w nogach matczynych kładła.

Tak przeszedł dzień. Nad wieczorem i Jaś przestał się odzywać. I znowu nastała długa, ciemna noc, straszna swą ciszą, przerywana odgłosem pękającego od zimna drzewa.

Jagusia dygotała całą noc. Matka się zrywała, wołając przeraźliwym głosem:

— Do dworu, do dworu!

żeniu. Zdania jego w tym przedmiocie, wygłoszone na długo przed odkryciem sphymografu, t. j. przyrządu do automatycznego zapisywania zmian ciśnienia krwi w naczyniach, okazały się zupełnie słusznemi i prawdziwemi.

Największym jednak bez zaprzeczenia tryumfem było odkrycie tego ośrodka mózgu, który rządzi naszym organem mowy. Wówczas, gdy jeszcze nie było zupełnie utrwalonem pojęcie o tem, że każda część naszego mózgu służy do kierowania pewną określoną funkcyą naszego organizmu, Broca niezbitem rozumowaniem dowiódł, że organ mowy naszej jest w ścisłym związku z tylną częścią trzeciego zwoju czołowego lewej półkuli mózgu; że każda zmiana organiczna tej właśnie części mózgu pociąga za sobą nieodwołalnie utratę mowy.

Nie możemy tu przytaczać wszystkich jego dowodów w tym przedmiocie, wspomnimy tylko o operacyi, stanowiącej bez zaprzeczenia jeden z największych tryumfów nietylko Broki, ale całej w ogóle medycyny: Choremu, który utracił mowę, Broca przetrepanował czaszkę w odpowiedniem miejscu, i usunąwszy w ten sposób wrzód, wywierający ucisk na mózg, przywrócił mu utraconą zdolność mówienia. Operacya ta jest podwójnie ważną: stanowi ona dowód postępu zarówno nauki jak i sztuki leczenia.

Przytoczeniem jej rzuciliśmy zaledwie jeden rys działalności Broki na polu medycyny; kreślić innych nie możemy, pomimo całego ogromu zasług nieboszczyka na tem polu; natomiast musimy streścić pokrótce rys jego działalności w sferze antropologii.

W roku 1838 Wiliam Edwards założył w Paryżu towarzystwo etnologiczne, poświęcone badaniom tych właśnie zagadnień, które dzisiaj stanowią przedmiot antropologii. Czy to z tego powodu, że założone przed czasem, czy z innych przyczyn, dość że wlokło ono wcale niezadowalająco swój żywot, aż nareszcie w r. 1848, gdy wszyscy zebrani członkowie, nic nie mieli sobie do powiedzenia — rozwiązało się. Lecz właśnie na rok przed rozpadnięciem się towarzystwa etnologicznego, t. j. w r. 1847, wówczas gdy Broca był dopiero pomocnikiem przy katedrze anatomii (*aide d'anatomie*), powierzono mu urzędową czynność, wymagającą obznajmienia się z danemi antropologii. Czynność ta pchnęła go na pole studyów antropologicznych, których owocem była rozprawa o niewyczerpanej płodności metissów.

W braku odnośnego towarzystwa, gdzie by mógł swą pracę przedstawić, udał się on do towarzystwa biologicznego, w którem prezes, Rayer, przerwał mu czytanie, gdy rozpoczął przytaczać fakty niezgodne z teoryami monogemistów. Broca zamilkł, a jak utrzymuje jego biograf, Pozzi—raczej skutkiem pognębienia widokiem słabości w człowieku nauki, niż skutkiem uległości powadze prezesa. Niezwłocznie też ogłosił w *Journal de la physiologie* tę samą pracę p. t. *L' Hybridité animal en général et sur l' hybridité humaine en particulier*.

Ten smutny epizod, który w swoim czasie narobił wiele wrzawy w towarzystwie biologicznem, wykazał konieczność utworzenia nowego zgromadzenia, gdzieby traktowanie kwestyj, dotyczących rodzaju ludzkiego, nie było krępowane żadnymi względami.

Utworzeniu nowego towarzystwa stało na zawadzie bardzo wiele przeszkód. Zebrał wprawdzie Broca dwadzieścia podpisów, lecz połowę z nich otrzymał raczej przez grzeczność, niż wskutek istotnego pojmowania potrzeby tego rodzaju zgromadzenia. Nareszcie po wielu trudach udało się uzyskać pozwolenie otwarcia publicznych posiedzeń, z tem wszakże zastrzeżeniem, aby na każdem był obecny komisarz policyjny, w celu zdawania władzom raportu o ich przebiegu.

Pierwsze posiedzenie odbyło się 19 maja 1859 roku, i od tego czasu rozpoczęła się płodna i szybka działalność młodego towarzystwa, które założyło sobie nadzwyczaj obszerny program, i którego powodzenie było właśnie skutkiem tej rozległości programu. Po ogłoszeniu pierwszego tomu sprawozdań wszyscy przekonali się o czysto naukowych jego dążnościach, wskutek czego rozpraszać się zaczęły te obawy, jakie młoda instytucya budziła przed swemi narodzinami. Minister oświaty, p. Rouland zatwierdził ją urzędownie w r. 1861, a w trzy lata później nowy minister p. Duruy polecił je względom rady stanu.

Po czterech latach istnienia wzrost towarzystwa był tak szybki, że potrzebowało ono koniecznie urzędowego sekretarza. Na pierwsze trzechlecie wybrano Brokę, i wybór ten potwierdzano aż do dnia śmierci sędziwego starca.

Od czasu zajęcia się antropologią, Broca począł zbierać czaszki, a ufundowanie muzeum antropologicznego stało się jedną z najbardziej ulubionych jego myśli. Powodzenie jego na tem polu było szybkie i wielkie, dzięki stosunkom z lekarzami okrętowymi, z którymi znajdował się w korespondencyi i którzy mu przysyłali okazy z rozmaitych okolic całego świata. Lecz wiadomo każdemu, że muzeum bez pracowni jest po prostu niemożliwem, więc też Broca musiał spełnić nowe zadanie: stworzyć pracownię antropologiczną.

Stanowisko profesora fakultetu dawało mu możność posiadania pracowni dla swych własnych, *osobistych poszukiwań*; nieco później jednak zdołał otrzymać laboratoryum poszukiwań (*laboratoire des recherches*), w którem dano mu, oprócz niższej służby, pomoc złożoną z dyrektora i dwóch zastępców, obowiązanych do dawania wskazówek naukowych każdemu, kto tego zapragnie.

Niedość na tem. Broca utworzył szkołę antropologii, a możność założenia jej zawdzięczał głównie swym serdecznym stosunkom z kolegami, których opinia była mu potrzebną, w celu uzyskania kredytu z ministeryum. Nim jednak szkoła ta powstała, trzeba było zwalczyć wiele przeszkód.

Dzięki jego zabiegom, i ofiarności znakomitego a wpływowego chemika Wurtza, zdołano zebrać prywatnie 35,000 franków na pierwsze potrzeby. W czerwcu 1875 rozpoczęto prace przygotowawcze, i ukończono je w dziesięć miesięcy, lecz czas ten był najgorszym dla pełnych poświęcenia założycieli. Prasa klerykalna poczęła czynić wycieczki przeciwko przyszłym profesorom nowej szkoły, oskarżać ich o ateizm, materyalizm, i tak dalej, a w chwili, gdy chodziło o zatwierdzenie z takim wysiłkiem dźwigniętego zakładu, urządziła prawdziwą i systematyczną kampanię, którą zdołała do tego stopnia otumanić ministra oświecenia, iż ten udzielił pozwolenie, ale tylko na jeden rok i tylko *ad personam*.

Pomimo to wszystko Broca w grudniu 1876 otworzył szkołę, której został dyrektorem. Udzielono jej trwałe zatwierdzenie, a nawet izby zagłosowały roczną zapomogę w kwocie 20,000 franków, co łącznie z prywatnemi ofiarami i procentami—dało jej do rozporządzenia 34,000 franków rocznie. Dziś więc przyszłość jej jest pewna.

Niezależnie od wszystkich napadów na wielkiego badacza, został on przez rzeczpospolitą powołany do Senatu, gdzie pracował z równą gorliwością.

Nie przypominamy sobie, ażeby jakie jego dzieło było przyswojone naszej literaturze. Ośm lub dziewięć lat temu *Gazeta Polska* umieściła przekład krytycznych uwag o poglądach Darwina na pochodzenie gatunków. Uwagi te są bezsprzecznie najznakomitszemi, jakie po polsku o Darwinie czyniono, i są utrzymane w tym szlachetnym, spokojnym tonie, który tylko głębokim umysłom jest właściwy. Wątpimy, czy między krytykami i częściowymi przeciwnikami Darwina był drugi, którego by on równie szanował.

Jeśli u nas wiadomości antropologiczne rozwijać się dalej będą, to część zasługi

---

Wystraszona dziewczynka dzikim głosem matki, tuliła się do Antosia, ale dobrze pamiętała, że matusia chciała biedz do dworu.

Przed samem świtaniem wszystko ucichło. Matusia jakoś skostniała i wyciągnęła się, bo też zimno było okrutne—woda w konewce do dna zmarzła. I Jagusia pewnoby umarzła, ale się grzała przy rozpalonym Antosiu.

— Do dworu, do dworu—powtarzała sobie całe rano dziewczynka, choć nie miała odwagi wstać.

I po cóż miała wstawać, kaszy już nie było — i ani jednego ziemniaka.

— Do dworu, do dworu — coś jej szeptało do ucha.

Zerwała się, wysunęła powoli matę, okryła się nią, i w butach Antosia, brnąc po śniegu, szarpana przez wiatr, dostała się do kuchni. Wpadła z płaczem.

Szczęściem była pani.

Za parę chwil przed chatą Jagieliny wysiadła panienka z Jagusią. Za niemi niósł lokaj garnczek ciepłego rosołu.

Zapóźno! Troje dzieci i matka zmarznięte! Umarła trzymała Ulisię w objęciach,— Marysię, przytuloną do niej, obejmowała ręką. Jaś skulony leżał na kraju łóżka.

— Ratujcie — wołała przerażona panienka.

Nadbiegł fornal.

— Moja panienko, niema tu już rady. Skostnieli na piękne. Niechno panienka spojrzy, jakie to mają zamarznięte oczy... Bez pierzyny na taki mróz; toby i pies nie wytrzymał, a cóż to mówić o kobiecie i takim drobiazgu. Jeszcze jedno zostało, może by to panienka jako uratowała.

Panienka posłała po ciepłe okrycie, aby w niem Antosia przewieźć, tymczasem karmiła go rosołem. Chłopiec pięć dni prócz wody nic w ustach nie miał.

Jagusia cicho, lecz serdecznie płakała.

Nadjechał dziedzic.

— Prawdziwa tragedya — zawołał, — był bowiem z niego kawał literata.

— Ojcze, i pozwalamy na to, aby pod naszym bokiem ludzie umierali z zimna — mówiła córka.

— Po oddzieleniu dworu od gminy, pozostało nam jedyne prawo: patrzeć i słuchać.

— Trzeba je zmienić.

— Idź do sejmu, moje dziecko.

— Żebym się tylko tam dostać mogła, powiedziałabym im!

Opakowanego Antosia a z nim i Jagusię odwieziono do dworu.

Jagielinę i troje jej dzieci pochowano w jednym dole. Gospodyni jegomości odebrała derkę. Antoś ułożony na piecu w kuchni — w dwa tygodnie przyszedł do siebie. Dziedzic mu kupił kożuch, i przeznaczył za chłopca przy cugowych koniach. Panienka zajęła się Jagusią.

* * *

(Dokończenie nastąpi).

spadnie na tego znakomitego pracownika. I my więc winniśmy mu wdzięczność za ten zapał, z jakim poświęcał się nauce, i za to, czego dokonał.

J. J. T.

EDMOND ADAM
jako powieściopisarka.

II.

Pani Edmond Adam zaczęła więc pisać powieści, i powieści te używają we Francyi wielkiego rozgłosu. Rozsławiają je współpracownicy *Revue nouvelle*, stronnicy polityczni, i wszyscy, którzy uczęszczają do jej salonu. Czytają z ciekawością ci znowu, co chcą w nich pochwycić istotę niepospolitej kobiety, i zdać sobie sprawę z jej dążności, zapatrywań, a wreszcie talentu.

Na tem stanowisku i my także stoimy, my którzy z oddalenia nie dowierzamy zbytnio stronniczym pochwałom, podnoszącym dzieła pani Adam do apoteozy, ani krytykom, które znowu tendencyjnie uważają je za sprawy antychrysta; rozpatrujemy się w nich, jako w dokumentach, świadczących sprawiedliwie o umysłowości autorki.

Powieści tych wyszło kilka, jedna lub dwie jednak starczą zupełnie do scharakteryzowania sposobu pisania pani Adam. Mistrzynią i wzorem jej w literackim zawodzie była Sand. W młodych jeszcze latach pani Adam napisała do niej list pełen uwielbienia, który otworzył jej podwoje willi w Nohant, a pani Sand, poznawszy ją bliżej, zachęcała do sprobowania pióra, przepowiadając świetną przyszłość. Młoda kobieta uwierzyła tym przepowiedniom, pochlebiającym miłości własnej; my jednak, czytając jej dzieła, uznać ich nie możemy. Nie wierzymy w wyrocznie, a powaga sławnego nazwiska tyle razy służyła za płaszczyk miernotom, iż szanując bardzo talent zmarłej autorki, bynajmniej nie czujemy się obowiązani podzielać jej pobłażliwego sądu.

Jedną z powieści swoich—*Laide*, wydaną przed dwoma laty, pani Adam a raczej Julieta Lamber, gdyż podpisuje się tym pseudonimem, poświęca ukochanej pamięci swej mistrzyni. Autorka tutaj, jak i w innych powieściach swoich, sili się niezmiennie na oryginalność, zapominając o tem pierwotnem prawidle sztuki, iż owa oryginalność nie leży w temacie, ale w indywidualnem zapatrywaniu, które może każdy przedmiot uczynić świeżym i nowym, jeśli tylko świeżość ta istnieje w oku i myśli autora; czyli mówiąc słowami Zoli, jeśli posiada on indywidualne zapatrywanie się na naturę. Ta świeżość, ta oryginalność stanowi istotę talentu, i tego zastąpić nie zdoła ani pracowita intryga, która lękając się zapewne pospolitości, wpada w nieprodobieństwa, ani kunsztowne opisy, ani nawet wezwania do bóstw mitologicznych, jak scena w *Laide*, w której bohaterka wzywa pod wszystkiemi znanemi starożytności nazwiskami—Dyannę o pomoc i opiekę, lub w *Jean et Pascal*, w której Jan odzywa się równie uczenie do bóstw wodnych.

Sceny te w każdym razie świadczą daleko więcej o erudycyi, niż o dobrym smaku pani Adam; są bezcelowe, napuszyste, a nawet zupełnie komiczne wśród dzisiejszego świata i dzisiejszych obyczajów, świadczą nadto, że autorka nie umie być konsekwentną co do zasad swoich, i wprowadza do powieści żywioły, niemające nic wspólnego z realistyczną szkołą natury, będącej tylko manifestacyą literacką zasad stronnictwa, do którego należy. Zmącone żywioły dziewiętnastego stulecia tylko za pomocą obserwacyi rozjaśnione być mogą. Powieść będzie służyła dzielnie temu celowi, ale pod warunkiem, iż badać będzie naturę w rozmaitych stanach i fazach, że stanie się *dokumentem ludzkim*. Tymczasem napuszystość i nieprawdopodobieństwo są to dwie kardynalne cechy, wszystkich niemal utworów autorki, które zaprzeczają jej prawa bytu w literaturze obecnej. Za dowód posłużyć może najpobieżniejszy rzut oka na dwie powieści—*Laide* i *Jean et Pascal*, wybrane przypadkowo z pośród pięciu czy sześciu, stanowiących jej balast literacki.

Laide (brzydka), jak sam tytuł wskazuje, jest to historya kobiety, pozbawionej tego, co jej w dzisiejszem społeczeństwie daje jedynie prawo bytu — piękności. Zewnętrzne przymioty stanowią przywilej wrodzony, brak ich pociąga nieraz za sobą tragiczne następstwa, jest fatalizmem dla kobiety, gdyż wydziedzicza ją z największego skarbu, jaki posiadać może — z miłości. Jest to znakomity materyał do powieści lub dramatu — dowiódł tego Władysław Okoński, w postaci Ireny, w dramacie *Piękna*, uczynił on jednak los Ireny tem tragiczniejszym, iż przeciwstawił jej—ideał niewieściego wdzięku w Emilli, i umieścił ją z konieczności położenia przy boku tej ostatniej.

Na szczęście jednak w dzisiejszych czasach gusta są tak rozmaite, iż w ten sposób wydziedziczone i upośledzone istoty trafiają się niezmiernie rzadko; od czasu, jak klasyczna piękność z tradycyjnego piedestału strąconą została, trudno jest o bezwzględnie brzydką kobietę, to jest o taką, któraby nikomu podobać się nie mogła, a tem trudniej też w Paryżu, gdzie obiega znany pewnik *on se fait jolie femme*, czyli, że za pomocą umiejętnej tualety można zaradzić niedoborom natury jeśli tylko kobieta ma spryt i środki. Jedno zaś i drugie posiada bohaterka Brzydkiej.

Helena, bo jakby na urągowisko nosi ona to imię, jest córką rzeźbiarza, co według autorki potęguje jej nieszczęście. Brzydota jej jednak nie jest grzechem pierworodnym; przeciwnie, urodziła się cudownie piękną, tylko około lat 8-miu dostała tyfusu, i w skutek choroby zbrzydła tak strasznie, iż matka z rozpaczy umarła, a ojciec ją znienawidził.

Dotąd podobne przemiany były specyalnością ospy, autorce jednak podobało się przeznaczyć na ich sprawcę tyfus; zostawiamy lekarzom sąd, czy fakt jest możebny.

Helena, oszpecona, stara się łogodnością, dobrocią, rozumem zastąpić urodę, którą straciła. Wbrew jednak moralnym powiastkom, a wzgodzie, co prawda, z rzeczywistością — skutek nie odpowiada usiłowaniom: piękność moralna wcale fizycznej nie zastępuje, przeciwnie, nienawiść ojca do brzydkiej córki wzrasta tak dalece, iż nie może cierpieć jej w swoim domu, i kiedy Helena kończy lat 25, wydala ją z niego bez względu na jej łzy, i miłość, jaką mu okazuje. Autorka gromadzi nieprawdopodobieństwa, ażeby los swojej ofiary tem tragiczniejszym uczynić. Nie twierdzimy stanowczo, iż taki ojciec istnieć nie może, bo na świecie wszystko jest możliwem, powiemy tylko, iż na szczęście ludzkości do nadzwyczajnie rzadkich wyjątków policzony być musi.

Pod ciosem niesprawiedliwości ojcowskiej, wyczerpuje się łagodność Heleny; wybucha ona i powiada, że zbyt wiele cierpiała. Rzeczywiście cierpi nie tylko jako córka, cierpi srożej jeszcze z powodu skrytej miłości dla Gwidona, pięknego i utalentowanego syna ojcowskiego przyjaciela.

Mamy prawo spodziewać się, że wypędzona z domu bohaterka uczyni coś nadzwyczajnego, dopuści się aktu rozpaczy, albo też mścić się będzie na społeczeństwie całem, jak to zapowiada wyraźnie. Pomimo tej groźby jednak poprzestaje ona na tem, iż zaczyna używać milionów, które posiada, jakkolwiek nie wiemy, dla czego nie używała ich dotąd, i w czem na ten zwykły fakt wpłynęła niesprawiedliwość ojca.

Widocznie w tem miejscu pani Adam daje Helenie swoje własne gusta, tchnie w nią miłość towarzyskiego rozgłosu, jaką sama posiada. Urządza ona dom z wielkim smakiem, postanawia konkursy artystyczne, otwiera salon, do którego cisną się znakomitości Paryża, jak do salonu autorki, a pozbywszy się dawnej nieśmiałości, zostaje—siłą rozumu, nauki, i wytwornego smaku, jedną z władzyń mody.

Przemiana ta odbywa się w oczach zdziwionego czytelnika, który sądzi, iż autorka tym sposobem chce pokazać tryumf inteligencyi nad położeniem, zasobów umysłowych nad nieforemnością twarzy; tymczasem owa przemiana jest tylko wstępem do innej, daleko ważniejszej, według pani Adam, bo Helena, dostawszy drugi raz tyfusu, odzyskuje swą dziecinną piękność, i olśniewa zarówno zewnętrznemi, jak wewnętrznemi przymiotami.

Tak snuje się w głównych zarysach treść tej rozgłośnej powieści, o której przed dwoma laty rozpisywały się szeroko dzienniki francuskie, darząc ją zdawkowemi pochwałami. Jest ona tak dalece nieprawdopodobną, że uwalnia od szczegółowego rozbioru; wszystko dzieje się za pomocą czynników niby naturalnych, a jednak tak mało odpowiednich naturze i prawdzie, iż wolelibyśmy wprost bajkę fantastyczną, gdzieby laska czarodziejska jakiej wieszczki, obdarzonej wszechwładną potęgą, odgrywała rolę, jaką tutaj autorka tyfusowi narzuca. Możnaby zresztą do pewnego stopnia przebaczyć cudowności faktu, gdyby on służył do wykazania jakiego psychologicznego procesu, do głębokiej analizy uczuć.

Tymczasem z tych cudownych przemian Heleny dowiadujemy się tylko, iż jest ona bardzo nieszczęśliwą, będąc brzydką, a bardzo szczęśliwą, odzyskawszy piękność, o którą pewnej księżycowej nocy modli się gorąco do siostry Apollina, i wreszcie, że Gwidon, który do czasu przemiany obchodził się z nią, jak z siostrą, czuje w tem nowem położeniu gorącą ku niej miłość. Są to fakta tak naturalne, iż nie potrzebują dowodzenia, i nie wymagały bynajmniej arcyromansowych zdążeń powieści.

Autorka nagromadziła w niej mnóstwo szczegółów mniej więcej udatnych, ale te nie zbawiają całości, i czynią wrażenie przygód pracowicie wymyślonych. Dowodzą one, że pani Adam nie posiada talentu, lecz tylko powiedziała sobie z góry, iż napisze powieść, i dokonała wytrwale trudnego przedsięwzięcia. Stąd płynie oschłość, i zupełny brak interesu, bo to, co odczutem nie było, nie może wywołać wrażenia. Mamy tu zbiór dyalogów o sztuce, estetyce, uczuciu, zbiór wypadków, niebędących konieczną konsekwencyą charakterów, wiele rozpraw i opisów zręcznie z sobą powiązanych, ale nie mamy wcale organicznej powieściowej całości.

Być może, iż pani Adam szła śladem mistrzyni swojej pani Sand, której wiele powieści, jak n. p. *Pan Sylwester* lub *Panna de la Quintinie*, nazwać można tezą filozoficzną.

Jakkolwiek powieści te nie odpowiadają dzisiejszym wymaganiom, nie mają realizmu, ani objektywności, którą na pierwszym planie stawiamy obecnie, choć nie lubimy interesować się postaciami, których czujemy fikcyjność,—na każdym kroku porywa nas urok talentu wielkiej twórczyni *Indyany* i *Walentyny*, która malowała może mało realnych ludzi, ale nadawała im prawdziwe uczucie, umiała tchnąć w nich ogień istotnych namiętności i gorących przekonań.

Jakże blado, nędznie, karłowato, wyglądają przy niej bohaterowie pani Edmond Adam, i to nie tylko w *Brzydkiej*, ale i w innych powieściach, które nie mają może jej wad kardynalnych, ale za to mniej jeszcze przedstawiają zajęcia.

Brak talentu autorki jest tak rażący, iż najbogatszy temat, najszlachetniejsze uczu-

cia zbawić jej nie mogą. Przypatrzmy się np. powieści *Jean et Pascal*, która rozgrywa się na szczytach inteligencyi, o serce i rękę pięknej, dowcipnej, wykształconej dziewczyny, a której tłem jest uczucie patryotyczne.

Jan i Paskal kończą razem politechniczną szkołę z wielkiem odznaczeniem, są serdecznymi przyjaciołmi a Jan pragnąc wzmocnić ten węzeł, przeznacza jedną siostrę swoją, Magdalenę, za żonę przyjacielowi, który jest człowiekiem wielkiego charakteru i nauki.

Magdalena od dzieciństwa zna Paskala, i ma dla niego serdeczne uczucie. Nieszczęściem w piersi młodego człowieka tkwi smutek nieuleczony: jest on mieszkańcem Alzacyi, i znieść nie może myśli, iż jego rodzinna prowincya odpadła od wspólnej macierzy—Francyi. W tem usposobieniu umysłu razi go każda zabawa, każdy wybuch śmiechu zdaje się urągać jego boleści; tymczasem Magdalena jest uosobieniem młodzieńczego wesela.

Stąd kolizya konieczna. Magdalena jest zbyt pustą i wesołą dla Paskala, Paskal zbyt poważny dla Magdaleny; młoda dziewczyna skłania się poślubić włoskiego kuzyna, radosnego i młodego, jak promień słoneczny, i poślubiłaby go zpewnością, gdyby nie ojciec, który odmawia pozwolenia na ślub z cudzoziemcem, i brat, który bierze na siebie rolę pośrednika, tłomaczy przyjacielowi, że jest sensatem, że na nim leży obowiązek nie dozwolenia, by wydarto Francyi tak kosztowny klejnot, jakim jest Magdalena, siostrze zaś przedstawia, że sama nie wie, co robi, a obojgu, że się kochają, ipomimo wzajemnego oporu —łączy się wreszcie.

Tym sposobem Jan jest jedyną figurą, działającą w powieści, a główni bohaterowie nie mięszają się do niej zupełnie. On przemawia za jedną i za drugą stroną, i potrosze wbrew ich woli prowadzi ich do oltarza.

Powieść cała pisana jest w listach, a opisy natury, jak np. porównania krajobrazów włoskich i szwajcarskich, zabierają w niej daleko więcej miejsca od uczuć. Zresztą uczucia wypowiadane przez osobę trzecią mają coś ryczałtowego, nie nęcą subtelnością, ani prawdą, która w podobnych razach stanowi ich główną wartość, a przytem zbyt mało znamy i Paskala i Magdalenę, by nas kolizya uczuć pomiędzy niemi obchodzić mogła. Widzimy z jednej strony pustą kokietkę, z drugiej zaś nie obywatela zrozpaczonego nieszczęściem publicznem, ale upartego melancholika, co zamiast wypowiedzieć się jasno, stanąć na określonem stanowisku, przybiera niezrozumiałe formy. Nie wiemy właściwie, dla czego oddala się uparcie od Magdaleny, aby potem do niej powrócić. Uczucia jego są teatralne i napuszone. Nie pojmujemy, dla czego razi go kuzynka Joanna, która z poświęceniem, godnem swej imienniczki, Joanny d' Arc, pełni w Alzacyi obywatelskie obowiązki, i mamy mu za złe, iż przenosi nad nią płochą, pełną kaprysów i lekkomyślności Magdalnę. Czyniąc to, przeniewierza się on swoim ideom, i swojej miłości ojczyzny. Niepojmujemy bowiem, coby Francya straciła na tem, gdyby piękna paryżanka poślubiła swojego włocha, czyniąc z tego małżeństwa dla Paskala kwestyę patryotyczną. Pani Adam dziwnie pomniejsza ideę, której służyć pragnie. Magdalena bowiem, jakkolwiek Jan zachwyca się nieustannie jej dowcipem, wdziękiem i wytwornością, dla nas, którzy nie mamy dla niej braterskich uprzedzeń, wydaje się najpospolitszą kapryśnicą i kokietką, podejrzywamy nawet, że tak jak w ogóle u paryżanek—jedną z jej głównych zalet stanowi suknia, a Paskal daje się złapać na tę najpospolitszą ponętę. „Francya także jest kobietą,“ mówi on w końcu, decydując się przyjąć rękę Magdaleny, i tym sposobem godzi swój patryotyzm z miłością wmówioną mu przez przyjaciela. Przyznajemy, iż to rozumowanie pod względem racyonalnym dużo zostawia do życzenia, i że trudno nam brać na seryo człowieka, który się niem posługuje.

Dla pani Edmond Adam wystarcza to jednak zupełnie, i w ten sposób kończy ona swoją powieść. Prawda, iż zastanowiwszy się chwilę, nie możemy pojąć jej racyi bytu, gdyż brat Jan mógł wytłómaczyć odrazu Paskalowi i Magdalenie to, co tłomaczy im w końcu.

Obrazy natury są właściwie najważniejszą częścią książki, tak jak opisy arcydzieł sztuki we Włoszech—są najważniejszą częścią Korynny pani Staël. Podobna dwoistość zadania stanowi niezmierną trudność, której żaden talent przezwyciężyć dotąd nie był wstanie; nie dziw więc, że nie przezwyciężyła jej pani Adam. Opisom jej nie brak trafności, tworzyłyby one może same przez się zajmujące wspomnienia podróży, gdy tymczasem wtrącane są do powieści z wielką niezręcznością—w ten sposób, że do reszty psują jej słaby efekt. Tak np. Jan opisuje w liście do Paskala tragiczną chwilę, w której siostra przyrzekła swą rękę włochowi, i tuż obok, w tymże samym liście—umieszcza niezmiernie długi opis cieplarni, w której tę wiadomość odebrał, i najrozmaitszych gatunków storczyków, jakie się w niej znajdowały.

Fakta podobne świadczą o braku zdolności powieściowych, a nawet o braku dobrego smaku; bo nie trudno zrozumieć, że w chwili gwałtownego wzruszenia nie zwraca się uwagi na poboczne przedmioty, a tem bardziej nie kreśli ich malowniczego obrazu.

Pani Adam sili się widocznie na styl wytworny, frazesa jej są pracowite, pozbawione łatwości i wdzięku, porównania wyszukane, koloryt często przesadzony; jeśli więc dodamy do tych cech ujemnych zupełny brak pomysłowości, zrozumiemy łatwo, iż utwory jej są napuszone, czcze i nudne zarazem. Jako autorka więc nie przedstawia żadnego interesu, i nie otrzyma powieściowego berła, które śmierć wytrąciła z ręki pani Sand.

Prawdopodobnie w stosunkach towarzyskich nie ma ona wad cechujących autorkę, co świadczyłoby przypuszczalnie, iż pióro nie jest jej rzeczą: przeciwnie redaktorka *Revue nouvelle* słynie z uprzejmości iście francuskiej: opowiadają o niej wiele szlachetnych czynów, trafnych postąpień i słów dowcipnych. Umie zjednać serca tych, którzy mają sposobność się do niej zbliżyć; mała wartość jej literackich utworów nie obniża jej wartości towarzyskiej, i roli, jaką w społeczeństwie odgrywa. Rola ta jest jednak zbyt krótką, byśmy mogli ją dzisiaj osądzić sprawiedliwie, i naznaczyć jej miejsce właściwe pomiędzy wyjątkowemi istotami, które wbrew wychowaniu, jakie odbierają kobiety francuskie, potrafiły zabłysnąć na horyzoncie umysłowym.

Walerya Marrené.

MYŚL BANKU HIPOTECZNEGO.

(skreślił Józef Kirszrot, Warszawa 1881 roku).

Historya banku hipotecznego u nas — przedstawia niezmiernie wiele ciekawych danych. Od lat kilkunastu tuła się ten projekt po różnych umysłach i gazetach. Setki mózgów wysilało się na zapatrzenie go we wszelkie zalety praktyczności. Wieńczono już nawet kilku jego twórców, budując na podwalinach ich myśli—gmachy przyszłego szczęścia naszego przemysłu i handlu. Patentowane te odkrycia wprawiały w podziw najbardziej zatwardziałych pesymistów. Ogół zachęcał do wytrwałości projektodawców, projektodawcy — ogół, a finansiści znów jednych i drugich. Okadzano narodowy rozum, rozdawano korony, a projekta?... Czy one nas przerosły, czy też myśmy do nich nie dorośli, dosyć że z tego burzliwego morza mamy dzisiaj tylko kilka desek, które troskliwie zebrał w swej nowej pracy, p. t. *Myśl banku hipotecznego*, pan Józef Kirszrot.

Najprzód tedy—„Agraria.“ Myśl urodziła się w 1866 r. Był to dar danajczyków. Ten dawny przedmiot naszych zapałów stał się później przedmiotem naszych antypatyj. Zaczątki jej nieco tajemnicze; przeglądają jednak z poza obszernych poł jej ustawy, która miała tuczyć „Agraryę“ na wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby.

Miał to być bank hipoteczny, wekslarski, ubezpieczeniowy, pośredniczący, melioracyjny, a nadewszystko parcelacyjny. Bank miał na celu zakupno majątków — celem ich sprzedaży, parcelacyi, kolonizacyi... Założycielami byli przeważnie niemcy. To więcej, niż wymowne. Nic dziwnego, że roślina ta nie przyjęła się na naszym gruncie. Projektodawcy „Agraryi“ według p. R. grzeszyli tylko nieznajomością naszych stosunków politycznych, prawnych, społecznych i ekonomicznych.

Potem następuje warszawski bank ziemski. Przyszedł on zresztą na świat z talizmanem Wschodu. Była to mniej lub więcej udatna kopia rosyjskich banków ziemskich. Zmarł on jednak na galopujące suchoty, nie pozostawiwszy nam w broszurze p. R. nawet nazwisk swoich rodziców.

Warszawski Bank Hipoteczny! Projekt to czysto krajowy! Zacny, jak umysły jego twórców — pozostawiał tylko jedno do życzenia, t. j. sankcyę władzy prawodawczej.

P. R. nie wspomina, czy projekt ten został uduszony, czy też zmarł naturalną śmiercią. A szkoda... Przyjmnijmy go zresztą, jako niewiadomego z pobytu, i poświęćmy mu kilkanaście wierszy.

W zakres działania banku wchodzić miało:

1-o) udzielanie pożyczek na nieruchomości w miastach Król. Polskiego;

2-o) podejmowanie się parcelacyi majątków ziemskich i udzielanie na nie pożyczki;

3-o) emisya obligacyj hipotecznych na okaziciela;

4-o) udzielanie pożyczek na termin 9-cio miesięczny, na zastaw papierów publicznych.

Projektowany sposób udzielania pożyczek miejskich był nader praktycznym. Oto każde miasto, w którem przynajmniej 50 właścicieli nieruchomości, ubezpieczonych od ognia na sumę co najmniej 50,000 rs. pragnie otrzymać pożyczki, zawiązuje osobne stowarzyszenie; na wypadek zaś, gdyby przymusowa przez bank sprzedaż nieruchomości nie pokryła udzielonej pożyczki, wszyscy *in gremio* członkowie odpowiadają za... brakującą sumę. „I wilk syty i owca cała.“ Bank kroczy na pewno; stowarzyszeni zbyt wielkich obaw nie mają, a w dodatku ileżby to dobrodziejstw spłynęło na prowincyę!

Autor przechodzi do projektów, jakie się wylęgły w łonie Tow. Kred. Ziem. Było ich trzy. Jeden z nich ma na celu obdarzenie ziemian pożyczkami melioracyjnemi na ulepszenia w gospodarstwie rolnem. Według p. K. projekt ten przyniósłby wiele dobrego tym, którzyby się bez niego... doskonale obejść mogli. Pożyczki miały być lokowane bezpośrednio po pożyczce Tow. Kred. Ziem. A wiadomo powszechnie, jak mało dóbr w Królestwie mogłoby przy danych warunkach z tego dobrodziejstwa korzystać. Ci znów, którzy po pożyczce Tow. Kred. Ziem. nie mają na hipotece długów prywatnych, mają znów prawdopodobnie własne kapitały.

Drugi projekt opiewał o wydawaniu pożyczek na hipoteki okręgowe. Maximum tej pożyczki — 600 rs. Dobrodziejstwa z tego

źródła miały spłynąć i na uwłaszczone osady włościańskie.

Najciekawszą w tej wiązance projektów jest bezwątpienia myśl założenia przy Tow. Kred. Ziem.: — „Tow. Kred. Miast Król. Polskiego.

Towarzystwo to powołanem zostaje do życia, jeżeli do niego wejdzie przynajmniej 5 miast gubernialnych, a w każdem z nich ze 30 właścicieli, przedstawiających wartość miliona rubli. Pożyczka umarza się w przeciągu lat 27. Odpowiedzialność solidarną stowarzyszonych zastrzeżono w ustawie, ale zarazem zawarunkowano pewnem ustopniowaniem.

Nader ważnym jest między innymi artykuł, stanowiący, aby miasto, które zamierza przystąpić do towarzystwa, uorganizowało poprzednio u siebie straż ogniową.

Autor, sympatyzując z projektami Tow. Kred. Ziem., jest jednak przeciwnym temu, by one ujrzały światło dzienne w łonie Towarzystwa, a co najważniejsza — rozwijały się pod jego egidą. Powzdzerzać się musimy w tem miejscu z p. K. Sądzimy, przeciwnie, że dla wielu względów byłaby do życzenia ścisła koligacya między tymi noworodkami, a poważną instytucyą Tow. Kred. Ziem. Na podobnym pniu wyrosłyby na pewno przepyszne konary. Pamiętać przytem trzeba:

1) że pod opieką starej instytucyi — nowa stawiałaby pewniejsze kroki;

2) że Tow. Kred. Ziemskie potężnieje z każdą chwilą, a doświadczenie nauczyło nas, *że bogactwa, przekraczając pewną granicę, giną bezużytecznie dla krajowego dobrobytu;*

3) że pod opiekuńczemi skrzydłami Towarzystwa nowe instytucye zyskałyby odrazu zaufanie i... powodzenie;

4) że potomek zasłużonej instytucyi kredytowej oparłby się stanowczo na zasadzie wzajemności — tak dobrej i ważnej dla nas — i to nietylko pod względem skarbowym;

5) że nowa instytucya nie wykoleiłaby bynajmniej Tow. Kred. Ziem. z jego zwykłego toru.

Opieka ta zresztą byłaby tylko w pierwszej dobie materyalną — później stałaby się czysto duchową, polegającą na wzajemnej sympatyi i wspólnych zasadach. Akcye byłyby notowane oddzielnie, a nawet administracyę możnaby wytworzyć z właścicieli domów, z pewną przymieszką żywiołu ziemiańskiego. Jeżeliby to było korzystnem dla kredytu miast, toć już niewątpliwie dobrem jest dla kredytu melioracyjnego. Jakież towarzystwo prywatne zdoła skontrolować, czy pożyczka obróconą została rzeczywiście na melioracye? Setki agentów nie podołałyby w tym razie zadaniu, które złatwością rozwiążą komitety obywatelskie na podstawie wzajemności. Niech tylko Tow. Kred. Ziem. wypłaca pożyczki—oddzielnemi obligacyami melioracyjnemi, których kurs będzie zależał od sumienności dłużników obywateli, —a kontroli najściślejszej dopełniać będą sami obywatele.

Pan K. opiera głównie swoje zarzuty na tem, że instytucye, oparte na wzajemności, działają zbyt ostrożnie, poświęcając dla bezpieczeństwa sam kredyt.

Nie zawsze tak bywa: świadczy o tem dość wymownie działalność Tow. Kred. m. Warszawy. Fakt, że Tow. Kred. Ziemskie przeznaczyło początkowo tylko 3 miliony rubli na pożyczki melioracyjne — nie osłabia bynajmniej naszej myśli. Wobec łatwości, z jaką przyszłoby później rozszerzyć ten kapitał, moglibyśmy tylko pochwalić, że towarzystwo zamiast od razu skakać — uczy się wprzód dobrze chodzić.

Będąc w zasadzie za tem, żeby nowe instytucye powstały w łonie Tow. Kred. Ziem., w praktyce jednak zrzec się musimy tego dobrodziejstwa.

Dlaczego? Oto, że wobec pewnych niezależnych okoliczności, urzeczywistnienie tego projektu przewlokłoby się do nieskończoności. Instytucya prywatna może praktyczniej popierać swe interesa, i prawdopodobnie zdoła zakończyć swój żywot, — zanim czysto obywatelska przejdzie ze sfery projektów w dziedzinę rzeczywistości.

Sz. autor zastrzega, że nie kreśli w swej rozprawie projektu banku hipotecznego, ale daje tylko kilka uogólnień na podstawie prac poprzedników. Rzeczywiście jednak spotykamy na kilku stronnicach jasno określony—i to nawet wyrozumowany plan banku hipotecznego. Główną jego podstawą winno być, według autora, połączenie w jedno kredytu dla miast, melioracyi i przemysłu. Oto jakie względy za tem przemawiają:

1-o) wobec nawału u nas różnych kredytowych papierów — tylko obligacye tak potężnego towarzystwa zdołają się przez nie skutecznie na giełdy przecisnąć;

2-o) połączenie różnorodnych czynności w jednej instytucyi przedstawia tę korzyść, iż ewentualne straty dotkną mogą jedną jej gałąź, nie zaś wszystkie jednocześnie;

3-o) oszczędności w administracyi.

Na mnie specyalnie robi ta kombinacya wrażenie zaprzęgu różnych właściwości koni. Jak meklemburczyk nie może iść wparze z arabem, tak trudno sprowadzić przemysł z rolnictwem —pod jedną formę kredytu. Harmonia — będzie tu tylko pozorną, i nader dla obu stron kosztowną:

1-o) Fabryki ulegają *ostrym* przesileniom — rolnictwo — nie.

2-o) Kredyt fabryczny podlega różnym fluktuacyom,—rolniczy podlega mniej więcej jednym normom. Stąd wynika, że chwilowy kryzys fabryczny, pociągnąwszy za sobą spadek akcyi towarzystwa, odbije się żałobnie na losach rolnictwa.

3-o) W chwilach natomiast rozwoju przemysłu — kiedy akcye towarzystwa byłyby nader poszukiwane — oziębiać zapały będzie znów myśl, że akcye reprezentują także interesa rolnicze. Ta miłość z musu nie wyszłaby chyba na dobre żadnemu z małżonków.

Myśl p. K. wydałaby się nam jednak nader trafną—w zastosowaniu do połączenia w jedno pożyczek melioracyjnych z pożyczkami na nieruchomości miast prowincyonalnych. Piszemy się w tem miejscu zupełnie na przedstawione przez p. K. wymowne dowody korzyści materyalnych, jakieby Bank przynosił akcyonaryuszom. Autor wyprowadza je na podstawie metody porównawczej, wziąwszy za tło do porównań Tow. Kred. m. Warszawy i rosyjskie banki ziemskie.

Tym więc sposobem naszym finansistom przedstawiają się do zdobycia dwa złote runa: bank przemysłowy i hipoteczno-melioracyjny. Niestety, nie zawsze pewność powodzenia zachęca do wyprawy. Nasi finansiści mają swoją logikę i... obroty giełdowe. Czekajmy!

Broszurkę p. K. polecamy szczerze ogółowi. W powodzi zalewających nas projektów i artykułów ekonomicznych — przyjemnie odetchnąć przy pracy na seryo. Autor nie podzielа widocznie zdania, bardzo u nas popularnego, że aby zostać ekonomistą, dość jest... urodzić się; — bo do każdej swojej pracy wrzuca poważną dozę nauki i praktycznych studyów.

Jan Finkelhaus.

Badania dziejowe.

Wiadomość historyczna o rodzie Świnków oraz rodowód pochodzącej od nich rodziny Zielińskich herbu Świnka, zebrane i wydane przez G. i J. Zielińskich. Część I, od najdawniejszych czasów do roku 1600. Toruń, 1880, 8-ka, str. 239 i siedm tablic. — Juliana Bartoszewicza: *Studya historyczne i literackie.* Tom III, Kraków 1881 roku, 8-ka str. 400.

I.

Wartość opracowań historyi pojedyńczych rodzin szlacheckich zależy od przedstawienia tej roli, jaką dany szereg jednostek odegrał w sprawach publicznych i od nagromadzenia materyału, stronę obyczajową mającego na względzie. Materyału obyczajowego przeszłość każdej rodziny może dostarczyć, i dlatego monografie tego rodzaju uwzględnić go winny koniecznie; nikt zaś pretensyi rościć nie może, że pominą sprawy natury ogólnej, skoro dom dany udziału w nich nie brał. Bogactwem zaimponuje monografia, jeżeli w odpowiedni sposób oba względy połączy; uboższą, lecz zawsze dużej wartości będzie i taka, która z nowej strony obyczaje i stosunki domowe potrafi przedstawić.

Rodzina Świnków-Zielińskich do średnich liczy się domów, i z wyjątkiem Jakóba II arcybiskupa gnieźnieńskiego do r. 1600 nie wydała wybitnych stanowiskiem jednostek. Ponieważ autorowie nic nowego o sławnym arcybiskupie nie byli w stanie powiedzieć, a reszta Świnków-Zielińskich w domowem pracowała i gasła zaciszu, — przeto jedynie materyału do stosunków obyczajów mamy prawo od zatytułowanej monografii wymagać. Sami wydawcy przyznając, że ich rodzina „nie należała do arystokratycznych" i *czasami* tylko przez posługi dla rzeczypospolitej wybitniejszą zajmowała pozycyę, — obiecują jedynie „odtworzyć wierny obraz życia szlacheckiego w różnych epokach kilkunastu po sobie następujących pokoleń."

Owego właśnie *obrazu* szukaliśmy na próżno. Że Piotr spłodził Szczęsnego, Jadwigę, Stanisława i Annę, a Szczęsny spłodził Andrzeja, Piotra i Jana; Jan Władysława, a Stanisław Dorotę; że Paweł miał Zielonę i Cierpigórz, a brat jego Gościszkę, — szczegóły podobne — ciekawe niewątpliwie dla Świnków-Zielińskich — nie mogą służyć za blade nawet do odtworzenia rzeczonego obrazu farby, i nauce historyi nie przydadzą się na nic. Gdyby szanowni autorowie baczniejszą zwrócili uwagę na gospodarskie przodków rachunki, na ich życie domowo-sąsiedzkie i owe drobiazgi, z których duchową fizyonomię człowieka można odtworzyć; gdyby taki przedstawili materyał, jaki zgromadził Przyłęcki w pamiętnikach o Koniecpolskich, — mielibyśmy, dzięki ich pracy, bogate do obrazu życia szlacheckiego farby, których i przy kreśleniu szerszych widoków dziejopis użyłby chętnie. Jak mało pp. Zielińscy uwzględniali charakterystykę ludzi, najlepszym dowodem dziwne podobieństwo, a raczej jednakowa bezbarwność ich przodków, bez względu na czas, w którym kwitnęli i na różność zajmowanej przez nich pozycyi. Tak np. żyjący na schyłku XVI wieku, wojewoda płocki, Grzegórz nie różni się od ojca, sędziego Feliksa, od dziada Piotra, od przodków z XV i z XIV stulecia. Wszyscy w jednakowy mniej więcej sposób robią majątki i pomiędzy potomstwo je dzielą; procesują i do grobów się kładą; — Grzegorza śmiało przenieść można w stulecie czternaste, Ludwika i Mikołaja w szesnaste, chociaż daty dowodzą, że żyli w piętnastym. Dla osiągnięcia podobnych rezultatów pp. Zielińscy dużo bardzo ponieśli kosztów i nie mało podjęli mozołów, bo oprócz źródeł drukowanych czerpali z archiwów krajowych i obcych.

Drugą połowę książki zajmują „dowody,“ rodzaj familijnego dyplomataryusza, do którego autorowie wagę przywiązują niemałą. Niewątpliwie znaleźć w nim można niejeden szczegół ciekawy. Uderza np. chwiejność terminologii, dotyczącej podziału Mazowsza: raz Zawkrze pisze się *terra* (str. 120 i 169), a Szreńskie względem niego *districtus* (str. 169); w innem znów miejscu (str. 124) toż samo Zawkrze względem Płockiego zowią *districtus*, a Płockie również i *districtus* i *terra*. Do staropolskiego słownika wyrazów prawnych również można coś uszczknąć (np. *przewianowal, perdotavit)* lub chwiejność terminologii zaznaczyć (np. posag-*dotalitium*; wiano raz *dotalitium*, drugi raz *transdotalitium*), chociaż niepoprawność w wydaniu tekstu—do zrozumienia wyrazów i rzeczy przeszkodą jest dużą. Widocznie zamiast *Przisothki* (str. 148) czytać należy *przysiołki*; w dokumencie XXXII i *metez* i *podnowiić* zrozumieć trudno. Zresztą w stosunku do liczby (jest ich 58, str. 117—198) dokumenty korzyści przynoszą mało, gdyż pp. Zielińscy, familijne względy mając na celu, przygodnie tylko to i owo rzucili nauce.

Niewątpliwą do opracowania historyi Świnków-Zielińskich pobudką była próżność rodowa, opłacona mozołami i groszem. Szersze pobudki, przy tych samych mozołach i groszach, wydaćby mogły owoc zacniejszy i trwalszy.

II.

W trzecim tomie studyów historycznych i literackich Bartoszewicza znajdujemy, z rękopismu ogłoszoną, obszerną rozprawę p. t. *Warszawa i Kraków*; pierwszy raz również wydane *Prawo o elekcyi*, i kilka robót drukowanych za życia autora lub też — jak *Kniaź i książę* — po śmierci. Rozprawa *Warszawa i Kraków*, napisana — jak objaśnia wydawca — na konkurs krakowskiego towarzystwa przyjaciół nauk, — spostrzeżeń trafnych o znaczeniu stolic zawiera dużo, chociaż nie brak w niej — jak zwykle u Bartoszewicza — paradoksów i komunałów, z przedmiotem nie będących w związku. Autor nie pisał kroniki stolic, lecz zamierzył wykazać ich wpływ ogólny na Polskę i ich stanowisko dziejowe; mniej się też troszczył o fakta, a poglądom folgę dał większą. *Prawo o elekcyi*, mające być „ustępem z dziejów cywilizacyi narodu,“ jest niedokończonej pracy ułomkiem, zawierającym, na listach Commendoniego opartą, opowieść o tej sprawie na sejmie unii, oraz według Orzelskiego i Hejdenstjena — dzieje zjazdów szlacheckich po śmierci Zygmunta Augusta. Nie uwzględnił autor pamiętników Choisnin'a, jeszcze w r. 1818 w tłomaczeniu wydanych w Wilnie; nie mógł znać ogłoszonych w r. 1869 dzienników sejmowych z r. 1555 i 1558, o sprawie elekcyi mówiących szeroko, i dlatego ów ustęp wartości niema.

Na źródłach ruskich oparta rozprawka *Kniaź i książę* kwestyonuje pewność Czartoryskich, Czetwertyńskich, Mirskich, Sanguszków i t. p., jakoby ich rody szły od panujących książąt na Litwie i Rusi; niemało falsyfikatów i przywłaszczeń w tytułach przytacza, i ciekawe podaje szczegóły o kniaziach Sokolskich, Nieświeckich, Rowieńskich, Tołoczyńskich, Sieńskich, Nosikach, Kapustach, Nurzewiczach, Bułyhach, Konoplach, Połubieńskich, Hoszowskich, Odyniewicach, Pruńskich, Ogińskich, Puzynach, Trubeckich, Szujskich, Sołomereckich, Masalskich i t. p., którzy taką rolę odgrywali na Rusi, jak drobna szlachta około Nura, Różana i Łomży.

Niema wartości krótki, na Kochowskim oparty, artykuł p. t. *Szwedzi w Warszawie 1655.*, a bardziej jeszcze *Bitwa pod Beresteczkiem*, opowiedziana szczegółowiej i z większym talentem przez dr. Kubalę; błahostką jest *Wawrzyniec Słupski Bandura*, rzekomy kandydat do korony polskiej po śmierci Zygmunta Augusta; a *Jan Stanisław Jabłonowski, wojewoda ruski* sprawozdawczy ma przeważnie charakter, i nie przedstawia należycie wartości pisemka *Skrupuł bez skrupułu*, które w literaturze politycznej XVIII wieku znaczenie posiada duże, i oceny oczekuje dotychczas. *Księga protokułów franciszkańskich prowincyi ruskiej od r. 1625 — 1650* drobiazgowy i dość ważny do stosunków kościelnych zawiera materyał; w artykule: *Co znaczyła i gdzie była Ukraina*—zbija Bartoszewicz Czackiego wywód Ukrainy od Ukrów, i słusznie dowodzi, że „Ukraina była wszędzie, gdzie była granica;“ w innym p. t. *Czy Przecław Lanckoroński był hetmanem kozaczyzny?*—odpowiada przecząco; w rozprawie zaś *Anna z Sapiehów Jabłonowska* szeroko pisze o sławnej z czasów Stanisława Augusta kobiecie, znanej z mozołów około polepszenia stanu chłopów ówczesnych, z rozlicznych reform w Siemiatyczach i Kocku, z dzieł licznych i głośnego gabinetu historyi naturalnej, zakupionego po śmierci właścicielki przez cesarza Aleksandra I dla akademii moskiewskiej.

Rozprawka: *Mazowsze — mazury, czem się od innych krajów i mieszkańców polskich odznaczały*—za mało jest etnograficzną, żeby odpowiedzieć zadaniu; dużo też paradoksów i niczem nieuzasadnionych twierdzeń zawiera. Słusznie Bartoszewicz zaznacza doniosłość kolonizacyi mazurskiej, lecz bezzasadnie twierdzi, że „dojrzałość narodową prędzej przed innemi częściami Polski osiągnęli mazurowie;“ że mazur „najprędzej dojrzał do pojęcia całej Polski.“ Że mazurowie dojrzałość mieli niewielką i polityczne byli surowi, dowodem ich opóźnienie w wyrobieniu tych instytucyi, które od XV już wieku posiadała szlachta koronna; że nie najprędzej do pojęcia całej Polski dojrzeli, — okazuje to ich późne i nie bez oporu nawet połączenie z koroną.

Edytor, p. Kazimierz Bartoszewicz, ukończył zapowiedziane prospektem 10-tomowe wydawnictwo dzieł swego ojca, będące 5-ą lub 6-ą częścią zaszczytnej puścizny. Nie myśląc o kompletnem wydaniu robót sławnego ojca, edytor zamierza jeszcze ogłosić oddzielnie kilka ważniejszych, jak studyum o Annie Jagiellonce, o Aleksandrze Jagiellończyku i życiorysy znakomitych osób; ufa, że „poparcie ludzi dobrej woli i dziennikarstwa“ dozwoli mu przedsiewzięcia dokonać, i „o poparcie owo uprasza.“

Wł. Smoleński.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

O przyszłości religijnej przez *Napoleona Węgleńskiego*. Kraków, 1881 r.

Rojenia matafizyczne, mrzonki mistycyzmu, i wszelkie senne kreacye ducha, z każdym dniem coraz większą w naszem piśmiennictwie stają się rzadkością. Społeczeństwo, leczone długo z przywidzeń ciężkiemi próbami, uwalnia się z pod wszechwładztwa brzmiących haseł, a wyznawcy wiary w ślepe o różnych mianach bóżyszcza — z wyjątkiem gromadki ultramontańskiej — poprzestają już zazwyczaj na odprawianiu ceremonij w swych prywatnych katakumbach. Pozytywizm i pokrewne mu teorye dochodzą do widocznej nad umysłami przewagi. Szkoda jednak, iż błędne ogniki idealistycznej kryją się trwożliwie przed światłem dziennem: kto ma przekonania, powinien je ogłaszać, walczyć w ich obronie: bój — to ojciec postępu, a rzetelna teozofia w starciu z bigoteryą i klerykalizmem — mogłaby obecnie dzielniej niż kiedykolwiek poprzeć sprawę rozpowszechnienia zdrowych idej filozoficznych. To też nietylko bez wstrętu, ale nawet z pewnem współczuciem witamy „białego kruka“ pod postacią rozprawy: *O przyszłości religijnej*.

„Wszędzie i we wszystkiem (powiada autor) szukamy *lepszości*.“ Różne są jednak sposoby jej pojmowania, różne tory prowadzące do celu. Nie trudno więc o błędy: „jednych na mylną drogę sprowadza krótkowidzący fanatyzm, u innych chłodne rozumowanie zobojętnia wiarę w prawdy moralnego piękna i pochlebia samolubstwu. Owa lepszość tak pożądana istnieje przeto (!) w postępie religijnych naszych przekonań.“ W słowach powyższych widać już główny zarys planu stawianej przez autora wspaniałej świątyni na lodzie. Występując, jako rzekomy reformator idej metafizyczno-religijnych, opiera się on głównie na Apokalipsie i przypisywanych Janowi Apostołowi trzech listach; cytuje też kilkakrotnie Ś. Pawła. Źródłem wiedzy jest dla niego „Boże świadectwo,“ które znajduje swe odzwierciedlenie w „pełni umysłowych (sic!) ducha przymiotów.“

Deizm, panteizm, empiryzm, pozytywizm należą, zdaniem p. Węgleńskiego do zboczeń duchowych; systemy te wszakże, jakkolwiek błędne, bo jednostronne — nie przechodzą bez pożytku dla ludzkości... Mamy więc przed sobą marzyciela eklektyka. Filozofia doświadczalna cieszy się jego teoretycznym szacunkiem; nawet swą metodę, polegającą niby „na kolejnym rozbiorze i składni,“ nazywa pozytywną, a gardząc wszelkim systemem, mianuje kierunek, któremu służy — „pozytywizmem religijnym.“ Przypatrzmy się, w jaki sposób zdąża nasz teozof do odkrycia prawdy: „Bóg jest ogniskiem miłości. Takie pojęcie stara się wszczepić w wyznawców chrystanizmu pierwszy list powszechny Jana. A skoro się bliżej zastanawiam nad przymiotami ducha mojego, głos poczuć piękna przekonywa mnie o tej prawdzie ewangieliecznej nauki. Głos ten pospołu z rozwagą przewodniczy postępowi wiedzy człowieka i społeczeństwa. Wiedzę wzbogaca rozwaga, a natchnienie, rozjawiające się w łonie duszy obznajmia nas z akordami wszelakiej prawdy.“ Cudowna logika!, „Głos poczuć piękna,“ dość zagadkowa siła umysłu, sprawdza definicyę bóstwa, podaną przez twórcę Apokalipsy, a służąc za główny świecznik postępu, „obznajmia z akordami wszelkiej prawdy,“ podczas gdy „wiedzę wzbogaca rozwaga.“ Ale nie jestto bynajmniej jedyne miejsce w książce p. Węgleńskiego. Ma on właściwą sobie logikę: metoda badania, którą nazywa pozytywną, polega prawie zawsze na... kręceniu się w kółko. Oto jeden jeszcze przykład: „skoro żywot jest darem bożym, dar ten jest wieczny, bezpoczątkowy, jak jego dawca; a jeśli różne systemy uznają bezpoczątkowość atomów materyalnych, tem śmielej mogę uwierzyć w bezpoczątkowość osobników bytu duchowego (12).“ Kalectwo logiczne tej argumentacyi samo o sobie świadczy — zbytecznem by było je komentować. Bądźcobądź, poglądy p. W. noszą na sobie piętno swobodnego marzenia. Bóg, świat, człowiek — nie mają początku ni końca; materya w swym zarodku jest niemal duchową, duch — subtelnością materyalną (sic!); historya wszechświata i ludzkości przedstawia nieskończony łańcuch przeobrażeń; a nad całym bezmiarem przeszłego, teraźniejszego i przyszłego bytu panuje Bóg, uosobiona miłość i mądrość. Autor występuje tedy przed czytelnikiem w charakterze teozofa-optymisty. Poglądy jego na świat, jakkolwiek pozbawione często ścisłości logicznej, wieją ku nam tchnieniem tak pogodnem i wiośnianem, dyszą czasem tak niekłamaną poezyą indywidualnej prawdy, że bezwiednie przyklaskujemy młodzieńczej miłości i silnej wierze. Pomimo niezaprzeczonej, gruntownej religijności dążeń, autor nie odpowie podobno wymaganiom prawomyślnych; utrzymuje on bowiem: że „bezmyślna wiara nie uma-

cnia moralności," że „człowiek daremnie w modłach pokornych błaga o przyszłość— Bóg nie zna pochlebstw, ofiar nie żąda;" radzi „wyswobodzić pobożność z trwożliwej pokory, lękającej się gniewu bożego," domaga się wreszcie, aby bez wszelkich skrupułów „objaśniano literę pisma." Łatwo się domyślić, że teherezye zostaną surowo zgromione w prawowiernym Krakowie.

Dodam w końcu, iż myliłby się ciężko ten, ktoby p. Węgleńskiego uważał za nowatora, a jego rozprawkę za rzecz ściśle oryginalną. Wzorem bezpośrednim był tu prawdopodobnie Józef Gołuchowski lub Fryderyk Schelling. Wiele nawet punktów, jak np. porównanie natury i ducha do dwu odpowiadających sobie nawzajem biegunów, uznanie Jana ewangielisty za przedstawiciela przyszłości w kościele, nadanie mglistym teoryom miana *pozytywizmu* — przemawia za tem, aby p. Węgleńskiego nazwać wprost Szelingistą, odtwarzającym pomysły filozofa niemieckiego— przeważnie z okresu mistycznych jego dążeń.

Rozprawa tedy p. Węgleńskiego jest spóźnionem na drodze postępu zjawiskiem. Szkody, jak sądzę, społeczeństwu swemu nie przyniesie; optymizm jej wszakże pogodny nie zagoi ran, nie pocieszy wątpiących, bo podaje leki z innej doby, bo się w błękicie ogólników zasklepia... W każdym razie wolimy takie swobodne bujanie podobłoczne, niż huki „zdezelowanych grzmotów" klerykalizmu...

Forma rozprawki jest podobnie jak treść — chaotyczna; język miejscami chromieje. Na końcu broszury umieszczono dwa niby — poematy: pierwszy ma za nagłówek „Wieczność," drugi — monarsze słówko „Ja." Są one wiernem streszczeniem książki, a uzupełniają się nawzajem tak dalece, że nazwaćby je można sobowtórami. Oto wyjątek z nierymowanego wiersza p. t. „Ja."

„Nie — ja nie jestem prochem znikomym,
Dla mnie żywota braknąć nie może
W całej wieczności.
Skoro *jestem — byłem — będę —*
Bo takim jest żywot w słowie... (sic!)"

Takiego przedrzeźniania słów Kartezyuszowych („Myślę — więc jestem" — „Jestem—byłem, a więc będę,)" natchnionego może głęboką wiarą, ani rozbierać, ani ośmieszać nie myślę — samo się ono pod własnym ciężarem obali. Powiem tylko, że autor wstępując w strzemię Krasińskiego, nie odznacza się ani bogatą fantazyą, ani zdolnością wierszowania, ale zdradza niepospolitą głębinę uczucia i faustowską ruchliwość myśli.

Poezya w wychowaniu przez d-ra *Piotra Chmielowskiego*. Wydawnictwo E. Orzeszkowej. Wilno 1881 r.

Praca, którą oceniać mamy, znana warszawianom w żywej formie odczytu, jest ze względu na swą budowę prawidłowym sylogizmem. Składa się ona z dwu nierównych części: w pierwszej, stanowiącej myślową podwalinę wywodów, rozstrzyga autor syntetycznie kwestyę stosunku poezyi do życia praktycznego; w drugiej przechodzi na grunt wychowawczy, i podaje cenne dla ogółu pedagogów wskazówki na nieprzeoranem dotąd polu stopniowego wprowadzania młodzieży w dziedzinę najpopularniejszej ze sztuk pięknych.

W pierwszych dwu rozdziałach swej broszury odtworzył dr. Chmielowski wymowną antytezę, jaka zachodzi między okresem wszechwładnego królowania „dziewicy słońca", a następną chwilą, gdy „kochanka ducha" ujęła klątwie zapomnienia i wzgardy. Najbliższe zagadnienie i właściwy autorowi zwyczaj ogarniania wzrokiem krytycznym rozległego horyzontu— nastręczyły na samym wstępie sposobność wypowiedzenia uwagi o tem, jak wszelka nowa idea, a więc i nowożytny romantyzm — późny u nas, w stosunku do dalszego zachodu, znajduje oddźwięk. „Przed laty *stu* mniej więcej (mówi p. Chm.) w Europie bardziej na zachód położonej, a przed *półwiekiem* w kraju naszym poezya cieszyła się uznaniem swego wszechwładztwa w krainie ducha." Trudno doprawdy zaprzeczyć, że „we wszystkiem spostrzegać się u nas daje wielki odstęp;" ale co do romantyzmu, opóźniliśmy się o półwieku jedynie w stosunku do Niemiec; o lat z górą trzydzieści — w stosunku do Anglii; *wyprzedziliśmy zaś o lat kilka Francyę...* Szkoda, że autor nie zaakcentował tego szczegółu. Nawias w ogóle cały, poświęcony danemu przedmiotowi, jakkolwiek wzasadzie słuszny, wygląda blado, i nie posiada dostatecznej siły argumentacyjnej. Za zbyteczną też uważam wycieczkę przeciw zwolennikom żółwiego postępu— tembardziej, że okres, stanowiący rdzeń i koronę polemiki, podjętej w obronie żywszego ruchu, nie odznacza się pożądaną jasnością: „Prawda (mówi autor), że czasami istotnie można na tem stanowisku (tj. na stanowisku zacofańca) coś zyskać; *ale* nietylko, że strąca nas ono w położenie maruderów postępu, a nie jego dzielnych i rzeczywistych bojowników; *lecz* nadto naraża na los maruderów, którzy niekiedy coś dobrego sobie przywłaszczą, *ale* za to nieraz ciężkie przechodzić muszą tarapaty: bo kto nie zna trudów, nie zna i nagrody." Nastręczają się tu mimowoli pytania: 1) co w istocie zyskują maroderzy; 2) jaka jest wybitna różnica między *położeniem* a *losem* maroderów; 3) przez jakie to „tarapaty" przechodzić muszą; 4) czy wstąpienie do grona „dzielnych i rzeczywistych bojowników" postępu może mieć co wspólnego ze „strąceniem" lub degradacyą...

Bądź co bądź, trzy pierwsze rozdziały broszury, stanowiące główną część pracy, są bardzo jasnym wyrazem filozoficznych przekonań autora. Poezya przestała być samodzielną władczynią umysłów: tronu w królestwie światła, i większej części intelektualnego terytoryum ustąpiła umiejętnościom, przyjęła na siebie kapłańską rolę pocieszycielki, rolę orła, unoszącego trwożliwą na rozdrożach siłę badawczą, w regiony słoneczne. Myliliśmy się, pragnąc za przywodem poezyi—łamać, czego rozum nie łamie;" mniemana „matka narodów" okazała się ich macochą, rzekoma „prawda"—fałszem. Wiele jednostek zmarnowało swą potęgę — społeczeństwa zdziecinniały. Były to, jak powiada dr. Chmielowski, „skutki zwichniętej równowagi" w duchowem jestestwie człowieka. Nastały inne czasy: tłumy, wolne od „gorączki poetycznej," zapłonęły „gorączką złota." Szala umysłowa przechyliła się na drugą stronę. Zaprowadzenie więc harmonii w dążeniach społecznych wynika z natury rzeczy: niechaj poezya kwitnie, niech nas bawi, pociesza, do trzeźwego czynu zachęca; ale główną przewodniczką naszą we wszystkich dziedzinach życia praktycznego ma być umiejętność... Oto stanowisko, z którego, jak sądzę, zapatruje się autor na „poezyę w wychowaniu.", „Równomierne kształcenie wszystkich uspsobień i uzdolnień wychowańca" uważa p. Chm., zgodnie z zasadą dzisiejszej pedagogiki, za drogę, prowadzącą do osiągnięcia najwyższego szczytu w sztuce kształcenia charakterów t. j. „samodzielności w myślach, uczuciach i postępkach..." Poezya więc powinna, obok innych czynników, znaleść miejsce w wychowaniu — takie jednak, aby jej uczestnictwo było pomocą, nie zaś szkodą w prowadzeniu dzieła. Przedewszystkiem mając na względzie potrzebę prawidłowego rozwoju uczucia i fantazyi, pomyśleć należy o „stopniowanym kursie czytania poetycznego." Ale najsystematyczniej podawane płody poezyi nie wpłyną należycie na młode pokolenie, jeśli sami wychowawcy nie przejmą się rzetelnym do niej zapałem, lub jeśli w ocenie efektów życia praktycznego i obrazów z dziedziny artyzmu—jednej wspólnej nie zastosują miary. Poglądowi takiemu godzi się ze stanowiska wychowawczego przyklasnąć. Wątpię jednak czy nadejdzie kiedykolwiek chwila, w której przestaniemy „wysoko cenić w rzeczywistości to, co nas niesmakiem w utworze poetycznym przejmuje," lub czy kiedykolwiek zniesiony zostanie przedział między naturą a sztuką, między życiem—a najtrzeźwiejszym choćby, ale natchnionym płodem wyobraźni. Stara zasada Rafaela z Urbino: „Należy przedstawiać rzeczy nie tak, jak je wytwarza natura, lecz jak je wytwarzać powinna" („Bisogna fare le cose non come le fa la natura etc.") — nie da się już na gruncie, dzisiejszej estetyki bez wielkich zastrzeżeń i omówień zaszczepić; ale sądzę, że myśl Wiktora Hugo: „*Nieprzebyta granica oddziela rzeczywistość w sferze sztuki od rzeczywistości przyrodzonej*"[1]— zasługuje na zupełne uznanie. Jedność między temi dwoma regionami nastąpi wtedy dopiero, gdy albo poezya zejdzie na poziom życia codziennego, albo życie codzienne urośnie do szczytów artyzmu.

To zjawisko jest niemożliwe; tamto byłoby jednoznaczne ze śmiercią poezyi. Czyż więc można się żalić, że w ocenie sztuki i rzeczywistości, owych przecinających się nawzajem, dwóch kół o różnym promieniu— istnieją dwie odrębne miary? Sama atmosfera tych krain koniecznie między niemi zaprowadza różnice. Piękny wiersz w poezyi bardzo się nam podoba; ale w rozmowach powszednich wolimy prozę. Pośród ciasnej stosunkowo areny rzeczywistości uganiamy się szczerze za chlebem, i cenimy owoce swej pracy; ale wierna tych zabiegów fotografia może nas w odświętnym przybytku sztuki niesmakiem przejmować. Zgadzam się wszelako z autorem, że pod jednym względem nie powinno być dwu odrębnych miarek w ocenie poezyi i rzeczywistości, mianowicie pod względem zasad filozoficzno-społecznych.

Przy końcu swej pracy wylicza p. Chmielowski i ocenia ze stanowiska wychowawczo-estetycznego te utwory nowszej poezyi polskiej, które mogą być dawane do rąk dzieciom od lat 10 do 16, a więc w okresie, poprzedzającym systematyczny wykład historyi literatury.

Są to czytywane zazwyczaj po szkołach, najpopularniejsze płody wyobraźni naszych wieszczów i wieszczków z wiosennej, letniej i jesiennej pory romantyzmu. Tu i owdzie spotykamy się niespodzianie z dziwnie optymistycznemi sądami autora. „Wiesław" np. nosi u niego miano „arcydzieła" — bez „fałszu," „przesady," bez „skazy najmniejszej." Prawda, że dużo cech dodatnich dopatrzyć można w tym elementarnym wyrazie romantyzmu polskiego, w tej serdecznej, choć monotonnej, sielance z zarania doby mickiewiczowskiej; niepodobna zresztą znaleść w naszej literaturze czystszego pod względem moralnym poematu dla młodzieży; ale czyż wypada bić czołem przed plastyką i prawdą artystyczną „Wiesława?" Czyż osoby tu występujące mają w sobie dość krwi ludzkiej, czyż zawsze właściwym mówią językiem?... Nie zgodzę się również na to, aby „Marya" Malczewskiego mogła być uważana za propedeutykę cnót obywatelskich, za poemat przygotowujący młodzież do spełnienia poważnych w życiu obowiązków. Posępny koloryt poematu, idea bajronistycznego fatalizmu, która każdy niemal wiersz powieści przenika, po jednej stronie — kat bez wyraźnych rysów (Wojewoda), po drugiej blade, kirem żałobnym przesłonione ofiary, styl wreszcie, pełen ciemnych zwrotów i subtelnych przenośni — wszystko to razem wzięte nie stanowi bynajmniej książki, któraby pod jakimkolwiek względem

[1]) „Une limite infrachisable sépare la réalité selon l'art de la réalité selon la nature."

zasługiwała na nazwę ewangelii wychowawczej. Jedynie podobno odpowiednim dla młodzieży od lat 10 do 16, epizodem większym w Maryi, jest opis bitwy z tatarami. Całość poematu, odpowiednio objaśniona, pod względem etycznym szkody może wychowańcowi nie wyrządzi, ale też i pożytku nie przyniesie.

Na tem kończymy przegląd broszury. Zamyka ona w sobie trzeźwy, zgodny z ostatniemi wymaganiami nauki, choć nazbyt ogólnikowy a miejscami niejasny — rozbiór stosunku dzieł fantazyi do życia praktycznego i sztuki wychowania: broni więc praw umiejętności przed uroszczeniami „królowej sztuk pięknych;“ praw poezyi przed „zmysłem kupców;“ podnosi żywotny w świecie szkolnym, a nieurzeczywistniony dotąd projekt ułożenia biblioteki poetycznej dla młodzieży, słowem zasługuje na to, aby ją pomieszczono w książnicy rozumnych ojców, matek i pedagogów.

A. G. Bem.

LIBERUM VETO.

Smutne położenie przeciwników p. Donato. Odkrycie nieznanych specyalistów. — Nasze ogólne zahypnotyzowanie. Poszukiwanie prasy arystokratycznej przez sprawozdawcę *Biblioteki Warszawskiej*.—*Pamiętnik Fizyograficzny*.—Sąd jednostronny.— Figiel Tow. Kred. Ziemskiego.—Kongres literacki.—Pytanie do odpowiedzi z powodu *Króla reporterów*.— Szczególny sposób wykładu buchalteryi w pewnej szkole żeńskiej. Róża dla ks. Szyszkowskiego.

Dreszcz mnie przechodzi, gdy myślę o... „naukowych“ pogromcach p. Donato. Ostatecznie, co ci biedni ludzie mają z sobą teraz zrobić; do ich niedoli brak tylko, żeby, poddawszy się doświadczeniu w sali ratuszowej, własnym snem stwierdzili słuszność swych zarzutów. Bo ostatecznie p. Donato usypia publicznie już nietylko p. Lucyllę, ale pp. A. B. C. D. E. i t. d., którzy na estradzie skaczą, plują, śpiewają, tężeją, słowem robią wszystko, co magnetyzer im każe. Naturalnie wobec tych dowodów niewiara, oparta na przypuszczeniu zmowy p. Donata z p. Lucyllą i na krytykowaniu punktów ciężkości tej ostatniej, oraz na świadectwie Mucyusza Scevoli, musi zamilknąć. Do mnie przynajmniej szan. oponenci nie powinni mieć żadnej pretensyi. Od początku radziłem im, ażeby zamiast poprzestawać na binoklach, użyli narzędzi ścisłych, i naśladując dra Gepnera poddali p. Lucyllę umiejętnym doświadczeniom. Bez tych środków nie pomoże uparta podejrzliwość, że i medya z publiczności brane nie znajdują się w stanie hypnotyzmu, gdyż ostatecznie i na to brak eksperymentalnego dowodu. Wobec binoklowego badania naszych specyalistów, dziwić się tylko można, że p. Donato, któremu ona nie grozi żadnem „zdemaskowaniem,“ nie spróbuje istotnie sztuk, od którychby nam włosy na głowie powstały. Skoro nie sprawdzono doświadczalnie stanu p. Lucylli, któżby mu przeszkodził namówić ją, ażeby p. Wolbergowi przepowiedziała złą przyszłość w dziedzinie hypnotyzmu?

Jakkolwiek p. Donato w teoryi przedstawianych zjawisk nie jest dość silnym, i pomimo wielu listów naukowo zagadki nie rozwiązał, jestem mu wszakże niezmiernie wdzięcznym za pobyt w Warszawie, gdyż odkrył śród nas, a raczej stworzył bardzo wielu specyalistów, którzy po jego odjeździe zajmą się czem innym, ale w potrzebie oddali nam wielkie usługi. Przekonali bowiem nas dowodnie, że są rzeczy, których z samego natchnienia wytłomaczyć nie umiemy, i że wstawszy od referatu nad rozbrykanym koniem u karawanu, nie tak łatwo być równie ścisłym w rozjaśnieniu objawów hypnotyzmu. Obok tej przestrogi zyskaliśmy popęd do wstępowania w ślady p. Donata. Według wiadomości jednego z Kuryerów, cała Warszawa namiętnie się hypnotyzuje, tak dalece, że nawet powodzenie p. Morozowicza w uśpieniu p. Święckiej może szkodliwie oddziałać na losy ogródkowej Melpomeny. Uwaga wszakże o skłonności do magnetyzowania się jest spostrzeżeniem dość spóźnionem. Bo właśnie zahypnotyzowaliśmy się bardzo dawno i tak silnie, że pomimo silnych dmuchań ludzi czuwających nie zdołaliśmy się jeszcze obudzić. Można nam w ciało szpilki wsadzać, stężać członki, unieruchomiać wzrok, przymuszać do śpiewania lub płakania z rozkazu, a my nietylko nie oprzemy się, ale nawet nie pamiętamy, co z nami zrobiono. Gdy patrzyłem na p. Lucyllę, zasypiającą pod wzrokiem magnetyzera, nieczułą na bolesne podrażnienia, posłuszną biernie jego woli, myślałem sobie: u nas to nic dziwnego. Braid, pierwszy apostoł hypnotyzmu, usypiał ludzi przez umieszczenie im na czole błyszczącego przedmiotu, na który przez pewien czas się wpatrywali. Metody tej użyliśmy dawniej z doskonałym aż dotąd skutkiem...

Nie dopowiadam swej myśli całkowicie, bo obawiam się przygany od sprawozdawcy *Biblioteki Warszawskiej*, który rozbierając książkę p. Chmielowskiego, twierdzi, że „różnica między prasą arystokratyczną a demokratyczną naukowo nie da się usprawiedliwić w naszej najnowszej literaturze,“ co znaczy, że u nas arystokratycznej niema. Chciałbym być równie przekonany tą uwagą, jak jestem nią zdumiony. Sądziłem bowiem, że prasa nasza, z wyjątkiem pięciu lub sześciu pism, jest cała arystokratyczną. Stosunek ten najlepiej uwydatnił się po odczytach Spasowicza o Polu. Gdy znakomity badacz nie wybił pokłonów przed szlacheckimi ideałami poety, dziennikarstwo nasze nie mogło mu przebaczyć tego demokratyzmu. A jakichże to „nieobecnych“ wezwała *Niwa* do prowadzenia narodu? A komuż to według katechizmu stańczykowskiego Opatrzność dała posłannictwo przewodniczenia mu? Jakiejże to partyi sługą jest *Echo*, *Gazeta Warszawska*, *Wiek*, w Galicyi *Czas?* Jeżeli nawet w kuryeryach, przeznaczonych dla klasy średniej i ludu, opisy pańskich balów i zbytków, przyprawione zachwytem, rozpościerają się na całych stronnicach; jeżeli w nich szlachcic, posadzony na ławie oskarżonych, występuje zawsze pod kryptonimem, chociaż idzie do ciężkich robót, a prostak pod całkowitem nazwiskiem, chociaż zostaje uwolniony; jeżeli w oskarżeniu b. „prasy młodej“ za jeden z grzechów głównych policzono jej nieuszanowanie tradycyi w stosunku stanów; jeżeli uwłaszczenie włościan dotąd przeważnie jest ilustrowane ogłaszaniem wypadków kradzieży chłopskiej, przeciwko której obywatel jest bezsilny; jeżeli najdrobniejsza łaska pańska dla kraju wywołuje w naszej prasie uroczyste fanfary — to doprawdy trudno pisma, składające taką orkiestrę, nazwać demokratycznemi.

Szan. sprawozdawca *Bibl. Warsz.* podnosi ofiarność naszych panów. Nie odejmujemy zasługi Działyńskim, Konarskim, Marcinkowskim, ale jednocześnie zapytamy, kto to wydał, leżący właśnie przed nami, *Pamiętnik Fizyograficzny?* — dzieło olbrzymie, zawierające blisko 500 str. w ćwiartce, opatrzone kosztownemi mapami i rysunkami, które pochłonęło kilka tysięcy rubli niezwróconego w znacznej części nakładu? Czy fundusz na to nieocenione wydawnictwo dali nasi hrabiowie i książęta? Nie, biedni nauczyciele, młodzi badacze, którzy żadnymi kapitałami nie rozporządzają, i dla których 50 rs. więcej znaczy, niż dla najbiedniejszego z wystawców inwentarza — 5,000. Nawet między stu kilkudziesięcioma prenumeratorami tego *Pamiętnika* nie wyśledziliśmy ani jednego wielkiego pana. A jednakże na wyścigach, przy totalizatorze lub zielonym stoliku—ich hojności nie zbraknie. Źle w społeczeństwie, w którem materyały naukowe muszą wydawać ludzie ubodzy. Na nich u nas głównie spoczywa ciężar ofiarności publicznej. Przejrzyjmy listy składek dobroczynnych i policzmy, ile przypada na demokratów i arystokratów, a wtedy może przestaniemy palić możnowładcze kadzidła.

Demokratyzm naszej prasy! Twarz mimowolnie układa się do ironicznego uśmiechu. Dosyć przywieść sobie na myśl sposób traktowania u nas służebności. Uciążliwe one są, nikt nie zaprzeczy; chłop nadużywa często praw swoich — i to prawda; ale czyż prasa „demokratyczna“ powinna urządzać przed swymi czytelnikami sąd, który tylko jednej strony słucha? Wypadków, w których chłop pana skrzywdził i u komisarza sprawę wygrał, znamy mnóstwo, zdobią one codzień szpalty wszystkich dzienników; ale takie, w których pan chłopa krzywdzi, są nam zupełnie nieznane. A jednakże jeśli pisma mają tak dobrych reporterów, że ci zawiadamiają je o każdej gałęzi skradzionej w dworskim lesie, dla czego milczą o pretensyach drugostronnych? Miałżeby to być dowód ich demokratycznego charakteru?

Kiedy mowa o tej naszej demokracyi, niechże mi wolno będzie uczcić jeszcze jeden jej objaw, zapisany przez *Nowiny*, a zamilczany przez wszystkie pisma „demokratyczne.“ Najbogatsza, a więc najarystokratyczniejsza z naszych instytucyi finansowych, Towarzystwo Kredytowe Ziemskie podwyższyło pensye swym urzędnikom lu wielkiemu uradowaniu naszej prasy. Gdy wszakże ci, którzy doznali błogich skutków owego podwyższenia, policzyli przybytek, okazało się, że Tow. Kredytowe, zamiast uszczęśliwić swych pracowników pierwszem działaniem arytmetycznem, uszczęśliwiło ich drugiem. Wielkie wynalazki są zawsze proste, prostą też jest i ta operacya finansowa. Urzędnik, pobierający dawniej np. 600 rs. pensyi, otrzymywał przytem procenty na mieszkanie około 133, nagrodę roczną 75 rs. i gratyfikację dwuletnią 150 rs., razem rs. 900. Uniesione dobroczynnością Towarzystwo podwyższyło mu pensyę z rs. 600 na 800, ale obcięło dodatki. Środek arcydowcipny, jedynie zdolny pogodzić wspaniałomyślność z oszczędnością, podwyższenie pensyi z jej zniżeniem. Zauważyć przytem trzeba, że Tow. Kred. Ziemskie, nauczone doświadczeniem, umie oszczędzać kapitały, ażeby... no, ażeby ich potem nie miało.

Dnia 20 września ma się odbyć w Wiedniu kongres literacki, który porzuci jałowe pole zabezpieczania własności autorów, i zajmie się wypracowaniem projektu „wszechświatowej między nimi łączności.“ Zaiste temat wdzięczny, tem przyjemniejszy, że kłopotami o rozwiązanie tej zagadki nie przeszkodzi prawdopodobnie powodzeniu uczt i wycieczek w piękne okolice Wiednia. Uchwał tego kongresu wyglądam z niecierpliwością, bo nie mogę sobie wyobrazić, jakim on sposobem zdoła zaprowadzić łączność między mną — przepraszam, nie należę do kongresu — między p. Szymanowskim, urzędowym przedstawicielem naszej literatury, a Brandesem lub Brett-Hartem. Gdyby mi wolno było zabrać głos w tym przedmiocie, starałbym się zadanie kongresu znacznie uprościć i poddać jego światłemu sądowi myśl zaprowadzenia łączności między literatami pojedyńczych krajów, a przedewszystkiem naszego. Jeżeli śród dziesięciu autorów warszawskich rzadko znajduje się jeden, któryby nie chciał zjeść przynajmniej sześciu, to doprawdy, mając taki kłopot w domu, trudno zajmować się „łącznością wszechświatową.“ Nadto względom szan. naszego delegata polecam następującą kwestyę. Jeden z teatrzyków ogródkowych zamierzył przedstawić farsę polską p. t. *Król reporte-*

rów. Już były przygotowane kostiumy, muzyka i uzyskane pozwolenie cenzury urzędowej, gdy nagle dyrektor teatrzyku otrzymuje od jednego z pism wpływowych zawiadomienie, że operetka nie może być przedstawiona, gdyż w niej mają być jakoby pomieszczone wizerunki dwu tego pisma współpracowników. Daremnie autor tłomaczy się, że tych panów nie zna, daremnie dyrektor odwołuje się do poniesionych kosztów; cenzura prywatna ustąpiła wtedy dopiero, gdy przejrzała rękopis i wykreśliła z niego zakwestyonowane ustępy. Otóż radbym zapytać kongresu literackiego, czy podobne teroryzowanie własnej literatury jest godziwem, i czy instytucya cenzury prywatnej nie zasługuje całkiem na zaszczepienie w innych krajach? Wolałbym. ażeby kongres przez usta delegata polskiego odpowiedział mi, że legenda ta jest złośliwym wymysłem. Zdaje mi się jednak, że jestem dobrze powiadomiony, i że fakt powyższy stanowi niezaprzeczoną własność naszej chwały. Jakie to jednak szczęście dla Europy, że Gambetta, Gladstone, Taafe mniej dbają o swój honor, niż nasi reporterowie; inaczej musieliby nietylko zakazywać tysiące gazet, karykatur i operetek, ale nawet wypowiadać wojny międzynarodowe. Niechże jednak ci panowie w przyszłem *Ziarnie* zapiszą aforyzm: literatura jest szkodnym koniem, który po pastwisku winien chodzić spętany.

Obok tego faktu sprawiedliwość każe mi postawić inny, świadczący, że na innem polu lubimy swobodę i umiemy z niej korzystać. Za przykład służyć tu może pewna szkoła rzemiosł i buchalteryi dla kobiet, o której zajmujące szczegóły opowiada nam jeden z abonentów. I tak przez pół roku uczono przyszłe buchhalterki przeważnie arytmetyki zwyczajnej, i dopiero „na usilne nalegania" zaczęto im wykładać buchhalteryę. Wykład ten polegał na ustawicznem przepisywaniu starych brulionów ksiąg handlowych." a gdy to zajęcie wreszcie uczennicom dokuczyło, p. profesor (jedyny) pocieszał ich:

— Przepisawszy więcej takich książek, dojdziecie panie same do zrozumienia tego, czemu tak, a nie inaczej się zapisuje.

Dodać trzeba, że egzamin odbywał się znowu przed profesorami w jednej osobie, gdyż więcej ich „przyjść nie mogło," i że jego owocem był patenty, zawierające takie np. świadectwo: „N. N., uczęszczająca do zakładu, *zdaje się być dość dobrze uzdolnioną.*" Opinii tej musimy przyznać zupełną słuszność. Ponieważ ciało profesorskie w jednej osobie nie umie ani wykształcić, ani ocenić wiedzy uczennicy, bardzo więc sprawiedliwie postępuje, pisząc, że „*zdaje się być dość dobrze uzdolnioną.*" Zato nie zdaje się, ale jest pewnem, że zakład taki nie jest wcale uzdolniony do kształcenia w buchhalteryi, o czem niniejszem na podstawie powyższego listu zaświadczyć można.

Pisma nasze oprawiły w odpowiednie ramki fakt zerwania róży w Ogrodzie Botanicznym przez jakiegoś „jegomościa w mundurze," który obowiązującym w tem miejscu przepisom uledz nie chciał, a policyant zaaresztować go nie śmiał. Różę tę przesyłam ks. Szyszkowskiemu, proboszczowi w Białej i prefektowi tamtejszego gimnazyum, który w wykładzie religii nie dał się uwieść nawet przykładowi ks. Ołdakowskiego z Płocka. Sądzę, że wyznawca starego stylu pedagogiki odpowie mi za to wdzięcznem: *merçi.*

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Od lat kilku publicyści warszawscy, śledząc tętno życia, budzącego się śród ognisk prowincyonalnych, powtarzają wesołą wrotkę: że ruch postępowy coraz szersze u nas zakreśla koła, że mgła odwiecznej drzemki spływa z oblicza partykularzy. Jest w tem dużo prawdy: Lublin, Piotrków, Kalisz i inne miasta gubernialne podążają widocznie za Warszawą, a trzeciorzędne i dalsze ogniska probują je naśladować; szkoda tylko, że rozwój sił zasklepionych jest nader powolny, i że drożyzna warszawska wprzód się daje uczuć prowincyi, niż dodatnie, błogie skutki postępu. Ale bądźmy cierpliwi... Obfitsze zakratowanie sieci dróg żelaznych ułatwi przepływ nowym ideom. W sferach rządowych poruszono ostatniemi czasy kwestyę kolei Łódzko-Kaliskiej. Oby projekt ten, tak ważny dla zachodniej części Królestwa, nie rozpłynął się we mgle marzeń i nie pleśniał w aktach całe lat dziesiątki! Pomnożone tory komunikacyjne ułatwią nadewszystko porozumiewanie się ludu w sprawach przemysłu rolniczego; umożliwią, rozpowszechnią takie zjawiska, jak zapowiedziana w pismach na dzień 13 sierpnia — wystawa koni i sprzętów włościańskich w Janowie na Podlasiu. Wzmoże się niewątpliwie ruch i w innych dziedzinach: czytelnie, kasy wzajemnej pomocy, straże ogniowe staną się bardziej, niż dziś popularnemi. Tymczasem zanotujmy parę faktów pożądanych, a obok nich — wiązankę zdarzeń ujemnej natury: niechaj pierwsze służą za wzór, a drugie za bodziec do rozumnej działalności.

Założono niedawno dwie spółki kolportacyjne — jedną w Mławie, drugą w Lipnie. W Łodzi powstała nowa księgarnia—nie wywieszająca, jak sądzę z brzmienia firmy, sztandaru: „Drang nach Osten!" W Makowie (gubernii łomżyńskiej) inaugurowano w pierwszej połowie zeszłego miesiąca złożoną z miejscowych ochotników, obywatelską straż ogniową. Ten ostatni wypadek jest typowym ruchem w przyszłość. Klęski pożarów, które uważać można jużto za skutek ślepej nieostrożności i przypadku, jużto za wyraz reakcyi ciemnego, nędzą do ziemi przybitego proletaryatu, podszeptują tu i owdzie założenie straży ogniowej, jako pospolity a jedynie pewny środek samoobrony. Pożary są w samej rzeczy nieustającym a bolesnym bodźcem ruchu dla zapadłej nawet prowincyi. Niedawno nam doniesiono, że Hrubieszów się pali; potem — że w Augustowie 400 domów spłonęło; prawie jednocześnie odebraliśmy szczegółową wiadomość o zagladzie najlepszej dzielnicy Mińska (gubernialnego), i po raz piąty dotknięte go klęską ognia, miasteczka Korca na Wołyniu. Smutniejszem o wiele, bo zdradzającem zgniliznę moralną zjawiskiem są kradzieże zuchwałe, jakich się czern podczas pożarów dopuszcza, a co gorsza — nieludzkość, posunięta, wobec nieszczęśliwych innowierców, do najwstrętniejszej niekiedy ostateczności. Wymowną ilustracyą tej rany jest drukowana niedawno w Nowinach — korespondencya z Korca, (patrz N. 185). Czytając to, powtarzamy mimowoli słowa wieszcza niemieckiego: „Więcej światła!" Szczęściem wypadki wprost przeciwnej natury wypogadzają nasz pogląd na społeczeństwo. Niedawno kąpało się w Warcie, pod Częstochową trzech małych chłopców: odważnych a nieumiejętnych pływaków uniósł prąd wody — niebezpieczeństwo było groźne: huzar, Fijałkowski, z narażeniem własnego życia — wyratował dwu malców; trzeciego wyciągnął z wody — trupem. Czyn filantropijny przynosi chlubę swemu sprawcy, ale ponoć sam budzi ponurą myśl o braku opieki nad całością i zdrowiem przyszłych obywateli kraju.

Na zakończenie podamy szczegół, świadczący z jednej strony o mało rozwiniętem u naszego ludu poszanowaniu cudzej własności, z drugiej — o nierozważanej dotąd kolizyi między różnemi odroślami naszych sądów. W dobrach Bodzechów, w powiecie opatowskim — włościanie pod pozorem zwożenia przysługującej im (z prawa służebności) t. z. „leżaniny" — kradną drzewo sągowe. Kilka lat temu, schwytani na gorącem i zapozwani przed sąd komisarski (jak powiada gazeta *Wiek*), uwolnieni zostali od odpowiedzialności na tej zasadzie, że świadkowie czynu byli ludźmi zostającymi w służbie u strony skarżącej. Sprawa przeszła potem do komisyi gubernialnej, która potwierdziła wyrok pierwszej instancyi. Pokrzywdzony udał się pod skrzydła czasowej komisyi w Petersburgu, ale tu otrzymał odpowiedź, że kwestya należy do kompetencyi sądów właściwych. Z kolei więc zajął się nią tymczasowo sąd gminny i zjazd sędziów — bez skutku jednak, bo prezydya te uznały się za niekompetentne wobec danej sprawy. Korespondent, donoszący o fakcie, objaśnia, że „od daty podania skargi aż do chwili obecnej upłynęło lat trzy." Nie mamy zamiaru zastanawiać się nad tym, obfitującym w nieoczekiwane fazy, wypadkiem, przypominamy tylko, że kradzież drzewa przez włościan stanowi odwieczny ich przemysł, że przeciw tej epidemii moralnej powinna oddziaływać inteligencya miejscowa... Obojętność w tym względzie zdumiewa i zarazem oburza: są bowiem miasta (np. Kielce), gdzie handel drzewem kradzionem jest rzeczą całkiem pospolitą, jednym z uznanych, a co najmniej — tolerowanych powszechnie gałęzi... *pracy.*

A—m.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 13 lipca.

Dzisiaj książę Aleksander bulgarski odbywa „uroczysty" wjazd do Sistowa na otwarcie „konstytuanty," mającej w imieniu narodu dać odpowiedź na znane, przeciwkonstytucyjne jego ultimatum. Wybory przeprowadzone pod gorliwą aż do zbytku opieką władz cywilnych i zbrojnych, a dla większej pewności skoncentrowane w miejscu obrad 5,000 wojska— „celem strzeżenia parlamentu" — zabezpieczają księciu zwycięztwo. Wielkie zgromadzenie narodowe, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, przyjmie warunki podyktowane. Nacelnicy opozycyi wynoszą się za granicę, i wszystko będzie cicho, pięknie.

Za kilka dni przekonamy się już o początku urzeczywistnienia tej przepowiedni, t. j. o uchwale Izby w Sistowie; końca wszelako przewidzieć nie tak łatwo, bo nie brak zdań, wcale kompetentnych, które głoszą przekonanie, iż dyktatorskie siedmiolecie bynajmniej nie pójdzie gładko. Żywioły opozycyjne, nietylko w księstwie bulgarskiem, ale i w Rumelii wschodniej, zdradzają wrzenie wewnętrzne, przy którem o eksplozyę nie trudno, a nadto pond Bałkanem okazuje się chmurka, która nietylko spokój Bulgaryi, ale całe położenie półwyspu i wszystkie skrzyżowane tam interesy wielkich opiekunów poruszyć może. Zapowiadają znowu od kilku dni dość uporczywie, że Porta otomańska zabiera się całkiem poważnie do zajęcia wojskiem wąwozów bałkańskich, z którego to prawa, przez traktat berliński jej przyznanego, nie korzystała dotychczas tylko „dla świętego spokoju." Wprawdzie ochoty po temu nie brakło w Stambule i dawniej, lecz poskramiały ją „rady" mocarstw kongresowych. Ostatniemi czasy jednak Porta dowiodła, że umie się ryzykować na awantury, jakby pod wpływem przekonania, że goły niema nic do stracenia. Faktem zaś ma być, że korpus adryanopolski przygotowany stoi do marszu w Bałkany, i że tylko ze względu na tę zamierzoną operacyę Porta zdecydowała się bez wykrętów skończyć sprawę grecką i całkiem wycofuje się z opozy-

cyi względem gospodarującej w północnej Afryce Francyi. W ten sposób przedstawiają sytuacyę poważne dzienniki jak *Kolońska*, i *N. fr. Presse* i inne, nadmieniając, iż z bulgarską sprawą w związku zostaje zapowiedziany zjazd cesarzów Austryi i Niemiec w Gasteinie oraz Bismarcka z Haymerlem w Kissingen. Co do nas, jesteśmy mało skłonni do wiary w grozę tego obrazu; winogrona wschodnie rzeczywiście niedojrzały jeszcze do spożycia dla amatorów tak oględnych w szafowaniu trudami, jak są Austro-Węgry.

Do spraw wschodnich nadmienić jeszcze należy, że trybunał kasacyjny w Stambule zatwierdził wyrok śmierci na skazanych w procesie o morderstwo Abdul Azisa: Midhata i Mahmuda, paszów—oraz ich towarzyszy. Zapewniają, że sułtan zamieni wyrok śmierci na wygnanie.

Francuzi dobrze się pocą w Afryce. Powstanie w południowej Algeryi rośnie w siły, toż samo mówią o luźnych dotychczas objawach ruchu zbrojnego w Tunetanii. Nowe posiłki wojskowe wysyłają się znów do Afryki. Niemiły ten stan w połączeniu ze wznowionemi atakami prasy angielskiej i włoskiej, oraz ciągłemi interpelacyami w londyńskiej Izbie gmin—wytwarza położenie bardzo kłopotliwe dla rzeczypospolitej. Stosunki też jej z Anglią i Włochami, z powodu sprawy tunetańskiej naruszone, jakkolwiek zdawały się już pomyślnie składać, dziś bynajmniej za załatwione uważane być nie mogą. Ciekawe na tej kanwie rysują się epizody.

Francuska Izba poselska, w ciągu obrad nad budżetem, odrzuciła wniosek zniesienia poselstwa przy Watykanie i postanowiła utrzymać je bez żadnej zmiany. Pan Barthelemy rozwodził się przy tej sposobności szeroko o katolicyzmie Francyi i o potędze papiestwa. Na to powiada włoska *Riforma*, że przyjdzie jeszcze czas, iż rzeczpospolita francuska przyłoży rękę do odbudowania świeckiej władzy papieża. Chyba rzeczpospolita Jules Simona!

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Miasto Augustów po raz czwarty w tym roku uległo w tych dniach klęsce pożaru, z 500 domów zaledwie 100 pozostało. Taż sama klęska dotknęła Mińsk litewski (szkody wynoszą około 1.000.000 rs.), i Korzec na Wołyniu.

— Ministerstwo oświecenia postanowiło udzielać stopni naukowych technologa i inżeniera-technologa osobom, kończącym odpowiednie zakłady zagraniczne, z warunkiem złożenia egzaminu w kraju.

— Minister oświecenia polecił kuratorowi okręgu naukowego charkowskiego zakładanie biblioteczek ludowych w ziemi wojska dońskiego, z których mają korzystać nietylko uczniowie szkół elementarnych, i ale dorośli.

— W intendenturze mają być zaprowadzone wielkie zmiany, przez zniesienie wielkiej liczby magazynów i urzędników, co przyniesie około 500,000 rs. oszczędności rocznie.

— Gubernator kowieński przedstawił do zatwierdzenia ministeryum spraw wewnętrznych projekt urządzenia w Kownie centralnego domu dla obłąkanych, którego potrzeba dawała się czuć bardzo w tamtych okolicach.

— Znowu cztery majątki polskie w Poznańskiem przeszły w ręce niemieckie: Łaszczyńskiego dobra Grabowo i Krzywa góra, Pilaskiego Zieleniec, Szołdrskich Podowo i Barchlin, wreszcie Radziwiła Chocieczewice—te ostatnie nabył Hauseman z Berlina za 1.200.000 talarów.

— W tych dniach odbyło się ogólne zgromadzenie warszaw. stowarzyszenia subjektów handlowych.

— W Białymstoku założono stowarzyszenie spożywcze *Oszczędność*.

Sztuki piękne. Komitet wystawy dzieł sztuki, stosowanej do przemysłu, ma wydać jej album fotograficzne.

— Popis Instytutu Muzycznego warszawskiego odbył się 26 czerwca w sali Ratuszowej.

— Znany muzyk, p. Żeleński przeniósł się na stałe do Krakowa.

Teatr. W teatrze Belvue przedstawiono w tych dniach po raz pierwszy *Poczciwych próżniaków* Bałuckiego, oraz operetę Supego—*Juanita*.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. E. Kr. w Krzemieńcu. Wysłaliśmy ponownie wszystko, prócz Nr. 12, który wyczerpany. Praca Spasowicza drukuje się.

P. Flejczerowskiemu w Międzyrzecu. Pierwszą połowę dodatku wysłaliśmy; należy nam się kop. 50. Opłatę za pana wniesiono dopiero 10 lipca.

P. R. N. J. w Łopusznie. Wysłaliśmy całość, bo pierwsza połowa wyczerpana.

P. S. Sch. w Hamburgu. Wysłano.

P. I. Matusiewiczowi. Nr. 2 wyczerpany, kop. 30 zapisaliśmy na rachunek Pański.

P. H. Il. w Proskurowie. Nr. 26 wysłany.

P. I. D. z B. List do Spasowicza wysłany.

P. M. K. w Radomiu. Nr. 27 wysłany.

P. Józefowi P. Abonenci, którzy zaprenumerowali Langego w redakcyi *Prawdy*, tamże mogą tę książkę nadal odbierać. Ogłoszenie nasze stosuje się do reklamacyi o zagubione zeszyty, zwłaszcza przy wysyłce prowincyonalnej.

P. Józefowi Mat. w Kurszanach. Nr. 2 wyczerpany — marki do dyspozycyi Pańskiej.

P. Kowerskiego w Żabnie prosimy o podanie ostatniej stacyi pocztowej, gdyż jej w liście obstalunkowym nie znaleźliśmy.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Іюля 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.